

● W. SAMOLIŃSKI KONTRA R. BENDER ● W. BIAŁY O SOBIE I INNYCH
 ● RODZIŁAM W WIĘZIENIU UB ● DYREKTOR, CO NIE ODMAWIAŁ
 ● PROFESOR STAVRU DLA „RELACJI” ● W LONDYŃSKIEJ MGLE

PL ISSN 0000-8830

TYGODNIK
 WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 13 - 19 VII 1969 R.

NR 26

CENA 70 ZŁ

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kullk

NIE sądziłem, że bestrockie szusowanie wzdłuż Bugu będzie w istocie spotkaniem z kulturami tak odmiennymi od naszej, rdzennie polskiej i że wjedziemy w resztki autentycznych kresów dawnej Rzeczypospolitej, w obszar, który u obu wywoła mocne przeżycia — u Marka Terleckiego frustrację, u mnie cierpienie skóry na plecach z radości.

Bug, magiczna rzeka, dlaczego tak nas pociągał? Coś w nas musiało grać, że pełen gotowości wyszedł na spotkanie, ponury, dziki, nieokielznany. Na pomysł Marka, aby powtórzyć rajd szlakiem cerkwi unickich, podsunąłem myśl, że można by pojechać dalej, na północ.

Na miesiąc przed wyprawą zacząłem opracowywać trasę w szczegółach, sporządzając rodzaj kompendium, by w czasie jazdy nie zaglądać co krok do przewodników. Obawialiśmy się złej pogody — przez ostatnie dni padało. Zaklinałem duchy, aby chociaż wyjazd odbył się przy jakiejś takiej, bo niezręcznie wsiadać na rower kiedy leje. Po odskoczeniu 40 kilometrów już może, to inna perspektywa.

DZIEŃ I

20 czerwca, upalnie. Rowerowe sakwy są tak pomyślane przez tekstylnego inżyniera, że w żaden sposób nie da się odgadnąć przeznaczenia większości paszków — a zostały zaprojektowane do mocowania na turystycznym, standardowym bagażniku. Tracimy dwie godziny na przymocowanie trzech sakw.

Wypoczęci pedałujemy? Zwawo, na zjazdach staram się nie hamować. Szukamy swojego miejsca na szosie, testujemy przerzutki, odległości od siebie przy wspinaniu się i zjeździe, regulujemy siodełka — pomyślałby kto: kociokwik pod wielki wyczyn. W Skierbieszowie, dawnym królewskim mieście nadanym biskupom chełmskim, krótki odpoczynek w cieniu przykościelnych lip. Szukamy skrótu do Wojsławic. Z traktu do Grabowca, przez szerokość doliny wyścielonej łąkami widoczne zamczysko na wrzynającym się w mokradła cyplu, jedyna pozostałość po biskupim zamku. Zielono, wietrznie, wygodny asfalt niesie nas skrajem pofalowanej, typowo roztoczańskiej doliny Wolicy. Krajobraz dziwnie miękki, tylko na Roztoczu potrafi być taki.

Chcemy ominąć Grabowiec — za daleko. Mapy, nawet najnowsze, zrobione



Marszałek Rydz-Śmigły opuszcza ulicę Lipową. Czytaj str. 8—9.

Repr. Waldemar Stępień

niechlujnie, nieprecyzyjnie, z samego rozmieszczenia miejscowości wynika siatka dróg, których kartograf zdaje się nie lubić: punkty miasteczek i wsi często tkwią abstrakcyjnie w próżni. Odnajdujemy jezdnię, która na mapie jęzrzy się płamą niebytu, dojeżdżamy przez Tuczępy do Wojsławic.

Jest dobrze po południu, w nogach co najmniej 40 kilometrów, chce się jeść. Przysiadamy na przykościelnej ławie pod lipą. Kręci się cywil, głodni nie zwracamy uwagi — pochłania nas kielbasa podpieczona w piekarniku.

— Za dobrze wygolony jak na kościelnego. Książdz?

Cywil otwiera drzwi i wchodzi do kościoła. Walczę ze wszystkich sił nie popuszczając Markowi nawet kromki, żeby jechać trzeba zjeść, jedzenie dobre na spacer.

Kościółek z początku XVII wieku, wewnątrz skupiony modlitewnie człowiek, liczne marmurowe epitafia hrabiowskiej rodziny Poletylów. Zastanawia jedno „l” w nazwisku. Wychodzimy, po chwili i ten trzeci, a więc czekał aż zaspokoimy głód. Czując jego zyczliwość odpłacamy mu w myślach podobną, ale nie zamieniamy nawet słowa — jest starszy, niezręcznie go zaczepić. W witrynie właśnie zamykanej księgarni — „Cesarz” Kapuścińskiego, pani księgarz odmyka kłódkę i zyczliwie podaje książkę.

Po kocich łbach idziemy do cerkwi przypominającej walącą się stodołę. Tuż obok wyraźnie ruska w klimacie bryła dzwonnicy z czerwonej cegły. Dowia-

dujemy się, że stara synagoga jest odnawiana. Przecinamy rynek z pomnikiem Kościuszki (1920) i odnajdujemy wypatroszone mury. Przemykamy z powrotem wąskimi ścieżkami pomiędzy pożydowskimi, drewnianymi domami. Musiało to być biedne, kresowe miasteczko z przewagą ludności żydowskiej i prawosławnej. Asfalt i liszaje świeżej farby nie zdołały zatrzeć jego charakteru.

Za Wojsławicami łąki i zagajniki, horyzont uspokaja się, pagóry coraz rzadsze, zapodziało się gdzieś roztoczańskie ciepłko: już nie jesteśmy u siebie.

Uchanie o wiele brzydsze, rozciągnięte, jakby „rzadsze”, ale jest tu kościół wspomniany w każdym podręczniku historii sztuki polskiej: XV-wieczny, w stylu renesansu lubelskiego, z czterema pysznymi nagrobkami Uchańskich (dwa z ok. 1590 r., wykonane w warsztacie Santi Gucciego, pozostałe — alabastrów — z początku XVII wieku). Całości dopełniają barwne, renesansowe sztuki terie nawy głównej, prezbiterium i dwóch kaplic, kojarzące się z podobnymi w zamojskiej synagodze. Ma się wrażenie jakby przeniesiono tutaj po kawałku Zamościa i Krakowa. Marek nieco zawiedziony — wyobrażenia okazały się barwniejsze. Wspinając się pod górę usiłujemy odnaleźć ślady XVI-wiecznej rezydencji Uchańskich. Na szczycie czytelne ślady fos i korpusu położonego na rzucie prostokąta, nic więcej. Całość przykryta płataniną drzew, krzewów i zarośli. Pod nogami częste odpryski sionoszarej, wypalanej gliny ze śladami

palców. Pozostałości cegły palcówki? Profilowanej ceramiki używanej do zdobienia ścian lub fryzów?

Ma się pod wieczór, gnamy na skróty jezdnią z klinkieru zostawiając po prawej Jarosławiec i Terałyn. Zatrzymuje nas wiejski sklepik z całkiem niezłym piwem, wypijamy po jednym, spracowany organizm spala jak lokomotywa, ni cienia szmeru w głowie. Skrót przechodzi w poszarpany asfalt, po nim przygotowujemy do utwardzenia piaskzysty gościńiec. Pchamy obciążone rowery grzęznąć w piachu, przechodzimy chybottliwą kładką nad potokiem — most także się robi — i wydostajemy się na jaką taką asfaltówkę. Mijamy Raciborowice, by w Białopolu skrócić na Dubienkę, w której planujemy nocleg. Dochodzi 21.00, trzeba będzie zatrzymać się wcześniej. Pytamy o stodołę z sianem, kobiecina ostrożna (strefa przygraniczna), podpowiada gospodarza, który na pewno ma i jedno i drugie. Zajeżdżamy wprost do sołtysa, nieufny, po chwili przekonywania godzi się. Wieś nazywa się Holendry.

DZIEŃ II

Lody przelamane: na śniadanie dostajemy od gospodyni pachnące placki wprost z patelni. W przerwach między karmieniem kur, świń, mieleniem zboża na otręby — rozmawiamy. Są tylko we dwoje na gospodarce, sprzęt jest.

Dokończenie na str. 8

relacje ZE ŚWIATA

● W Bukareszcie odbyło się posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego państw—stron Układu Warszawskiego. Polskę reprezentowali m.in. Wojciech Jaruzelski, Florian Siwicki, Mieczysław Rakowski, a także Czesław Kiszczak. Rumunia jest jedynym członkiem Układu Warszawskiego, na którego terytorium nie stacjonują wojska radzieckie.

● Michaił Gorbaczow złożył oficjalną wizytę we Francji.

● Zmarł Andriej Gromyko, długoletni szef radzieckiej dyplomacji. Uczestnik konferencji jałtańskiej i poczdamskiej. Jeden z najbliższych współpracowników W. Mołotowa, w latach 1947—52 i 1953—57 wiceminister spraw zagranicznych ZSRR.

● Zmarł Janos Kadar, wieloletni przywódca Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Kierownictwo partii przejął po tragicznej śmierci Imre Nagy'a. Dziś — oskarżany publicznie na Węgrzech o zdławienie rewolucji 1956 roku.

● Wizyta kanclerza RFN, Helmuta Kohla w Polsce uzależniona jest od rezultatu rokowań dwustronnych i ustanowienia nowego rządu.

● Przewodniczący bawarskiej CSU, Theo Waigel stwierdził, że kapitulacja Niemiec po 1945 roku nie oznacza końca istnienia Rzeszy oraz że obszary za

Odrą i Nysą stanowią część problemu niemieckiego.

● Delegacja Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego przebywała w Bonn. Jej przewodniczący, Bronisław Geremek przestrzegł przed próbami naruszenia granic. Może to — zdaniem prof. Geremka — doprowadzić do nieobliczalnej w skutkach destabilizacji politycznej w Europie.

● Margaret Thatcher przyjęła Andrieja Sacharowa w związku z nadaniem mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Oxfordzkiego za usługi w obronie praw człowieka.

● Znana już całemu światu powieść Aleksandra Solżenicyna „Archipelag Gulag” zostanie wydana także w ZSRR.

● Plenum KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej jednomyślnie zaakceptowało propozycję ponownego wyboru Nicolae Ceausescu na sekretarza generalnego partii. N. Ceausescu przedstawiony został jako „płomienny patriota, wielki bohater narodu, wielce ukochany i szanowany przywódca”.

● Nadal trwają represje wobec uczestników protestu pekińskiego. Zapadły kolejne wyroki śmierci.

● Rząd amerykański podjął decyzję o sprzedaży Chinom trzech pasażerskich Boeingów. Samoloty te mają przeznaczenie cywilne — stwierdzono.

● Zakończył się Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Phenianie. Uczestniczyły delegacje przeszło 170 krajów świata.

● W górach Myohang w KRLD istnieje niezwykle muzeum darów. Zgromadzone tam prezenty i upominki, jakie od władz i mieszkańców wielu państw otrzymał Wielki Wódz Kim Ir Sen.

● W Kalifornii zmarł W. Romanow, ostatni książę z rodziny Romanowów, urodzony jeszcze przed rewolucją.

● Chile przywróciło stosunki konsularne z Polską i Węgrami.

● Na Węgrzech szerzy się bezrobocie. Już 50 tysięcy osób pozostaje bez pracy. Tylko trzy tysiące korzysta z zasiłku.

● „Musimy zrobić miejsce młodszemu” — powiedział w wywiadzie dla „Mai Nap”, Karoly Grosz, zapowiadając rezygnację ze stanowiska sekretarza generalnego WSPR po wyborach w przyszłym roku.

● Obroty w handlu między RFN a Szwajcarią w ub. roku były o 20 proc. wyższe niż ze wszystkimi krajami socjalistycznymi.

● Przedstawiciele Międzynarodowego Czerwonego Krzyża odwiedzają jeńców radzieckich przetrzymywanych przez afgańskich mudżahedinów.

● Parlament austriacki zatwierdził rządowy wniosek o podjęcie starań w celu przyjęcia Austrii do EWG.

● „Sunday Times” pisze, że „Mało kto wątpi w głęboki polski patriotyzm W. Jaruzelskiego”, który „lata młodości spędził na robotach przymusowych na północy ZSRR”.

relacje Z KRAJU

● Rozpoczął prace nowo wybrany parlament. Marszałkiem Sejmu został Mikołaj Kozakiewicz (ZSL), marszałkiem Senatu — Andrzej Stelmachowski (Obywatelski Klub Parlamentarny). W inauguracyjnej sesji uczestniczyli Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa. Rząd przysłuchował się obradom z galerii. Sala obrad wypełniona była do ostatniego miejsca, jedynie łoża prezydencka z godłem państwowym była pusta.

● Przewodniczący Klubu Poselskiego PZPR, Marian Orzechowski, zakomunikował, że wybór prezydenta nastąpi po zakończeniu wizyty George'a Busha.

● Janusz Onyszkiewicz poinformował, że Obywatelski Klub Parlamentarny wypowie się w sprawie prezydenta w przeddzień jego wyboru, kiedy znane już będą nazwiska kandydatów.

● „Wasz prezydent, nasz premier” nie jest żadnym rozwiązaniem — powiedział Bronisław Geremek w wypowiedzi dla DTV, komentując artykuł Adama Michnika zamieszczony w „Gazecie Wyborczej”.

● Konfederacja Polski Niepodległej podjęła akcję pikietowania gmachu Sejmu celem niedopuszczenia do wyboru na prezydenta „człowieka z ekipy stanu wojennego”.

● Prokurator Generalny PRL, w związku z rezolucją Senatu, polecił przeprowadzić wyjaśnienie okoliczności

ci pobicia grupy demonstrantów w nocy z 4 na 5 lipca w Warszawie.

● Prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush przybył z oficjalną wizytą do Polski. Jest to drugi pobyt Busha w Polsce i pierwsza od 11 lat wizyta amerykańskiego prezydenta.

● „Wyniki wyborów oraz dramatycznie pogarszająca się sytuacja gospodarcza kraju, postawiły w innym świetle sprawę politycznego składu rządu, który będzie wkrótce powołany, w tym możliwości rezygnacji SD z koalicji z PZPR i ZSL” — stwierdził Kazimierz Polarczyk, kierownik wydziału CK SD („Tygodnik Demokratyczny” nr 27).

● „Zaprzeczam intencjonalnym spekulacjom prasy zachodniej o rzekomych podziałach w partii” — powiedział przed kamerami TVP rzecznik prasowy KC PZPR, Jan Bisztyga.

● Z informacji GUS wynika, że w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku średni poziom cen w styczniu—maju br. był wyższy o 78,2 proc.

● Reaktywowano Bank Gospodarki Krajowej założony w 1924 roku.

● Zagraniczni udziałowcy, za pośrednictwem spółek joint-ventures zainwestowali w Polsce ponad 220 mln dolarów. Oblicza się, że możliwości inwestycyjne samej tylko Polonii są kilkudziesięciokrotnie większe.

● Do 1956 roku wyjechało z Polski ok. 50 tysięcy Mazurów. Exodus

Warmiaków objął blisko 250 tysięcy osób.

● „Związki zawodowe skupione w OPZZ pozostają w rzeczywistości jedynymi autentycznymi związkami zawodowymi w zakładach pracy” — stwierdził A. Miodowicz podczas posiedzenia Rady OPZZ.

● Odnalazł się pomnik ofiar zbrodni katyńskiej z 1940 roku, który ustawiono na dawnym cmentarzu wojskowym w Warszawie w lipcu 1981 roku. Nieznani sprawcy skradli go w nocy, po jego ustawieniu.

● „Bez zgody Kremla władze polskie nie podjęłyby rokowań z „Solidarnością” i nie zaryzykowałyby wyborów” — pisze w 44 numerze „Gazety Wyborczej” Leon Bójko.

● Nadal podstawowym towarem w sklepach mięsnych są metalowe haaki.

● W najbliższym czasie dotrze do Polski 30 tys. ton mięsa z RFN, Holandii i Francji. Przewiduje się dalsze „interwencyjne” zakupy.

● Zakończył obrady walny zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Funkcję przewodniczącego powierzono ponownie Stefanowi Bratkowskiemu. Wybrano Radę Stowarzyszenia. W jej składzie znaleźli się dwaj dziennikarze lubelscy: Waclaw Biały i Andrzej W. Pawluczuk.

● Do 1957 roku brak było regulacji prawnych określających warunki stacjonowania wojsk radzieckich w Polsce. Liczba żołnierzy Armii Radzieckiej w Polsce nadal stanowi tajemnicę wojskową.

● „Zły dla nas nastrój przemianie, zła chwila okaże się epizodem” — powiedział Mieczysław Rakowski na spotkaniu z aktywem partyjnym we Wrocławiu.

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

W tym tygodniu, zgodnie z wolą naszych Czytelników, za telewizyjny hit uznaliśmy program Joanny Skoczylas — „Kroniki PAT — Tak było...”

(Red.)

Maria LIS, emerytowana nauczycielka z Lublina: — To wspaniały pomysł. Trudno mi nawet wyrazić z jakim ogromnym wzruszeniem oglądam ten program. Ja jestem przecież człowiekiem przedwojennym. Tylko dlatego jest on nadawany tak późno? Niemal codziennie muszę walczyć wytrwale z ogarniającą mnie sennoscą. A jednak czekam... Odzywają w mojej pamięci tamte lata, ten nie istniejący już dzisiaj świat. Czy wie pan, że jedną z tych kronik oglądałam w kinie we Lwowie, jako młoda panienka? Pamiętałam jej treść tak dokładnie, jakby to było wczoraj. A więc telewizja posiada te wszystkie archiwalne materiały... To wstyd, że dopiero teraz po nie sięgnięto. W tych obrazach zawiera się nie tylko wizerunek tamtych czasów, ale także wielką prawdą o atmosferze Polski przedwojennej: o godności, zapobiegliwości i pracowitości naszego narodu. Czy widział pan jak witano na małych stacjach Rydza-Smigłego? Może był to zapal „na wyrost”, ale przecież tkwiła w nim prawda o ogromnej radości z posiadania wreszcie własnej, suwerennej, niepodległej ojczyzny. Mój Boże, cóż tu więcej dodać?

Józef JUSZCZYŃSKI, historyk, politolog z Lublina: — W związku z tym programem cisnie mi się do głowy kilka zasadniczych pytań. Po pierwsze, dlaczego tak późno emituje się te kroniki? Czy to jest w ramach wypełniania „białych plam”, czy też w ramach kontrastu między przeszłością a przyszłością? Czy łączy się to z problemem suwerenności? (Ten element jest w tych kronikach niezwykle wyraźnie zaznaczony). A może to tylko kolejny „wentyl bezpieczeństwa”? Wy czułam także w tych kronikach ogromny ładunek patriotyzmu. Pod tym względem propagandę międzywojenną oceniam bardzo wysoko. Widzę w niej przy tym połączenie dwóch nurtów: z jednej strony tradycji patriotyczno-romantycznej, z drugiej zaś pozytywistycznej (te wielkie budowy, kopowane później tuż po wojnie). A program o Polesiu? Cóż tu powiedzieć? Nie wiem, czy operator robiący ten materiał nosił w duszy obrazy Chelmońskiego i pod nie kształtował rzeczywistość, czy też były to krajobrazy powszechnie. Sądzę, że raczej to drugie. Sam pochodzę z pogranicza podlasko-poleskiego i wiem, jak wyglądają te wioski ukryte w sadach owocowych i wysokopiennych zaroślach. Wielka szkoda, że są to taśmy czarno-białe.

Krzysztof K., pracownik prywatnej firmy malarskiej: — Kto by tam oglądał takie „pierdoły”. Jak pan chce to wydrukować, to niech pan nie podaje nazwiska.

relacje Z REGIONU

● Pomnik Bolesława Bieruta zostanie rozebrany do 31 sierpnia. Demontaż pomnika ma kosztować 10 mln złotych. Plac B. Bieruta pozostanie bez nazwy, a ulicę jego imienia przemianowano na Lwowską.

● W Lublinie powołano Regionalny Komitet Odrodzenia Ruchu Ludowego.

● W województwie lubelskim — „kłęska urodzaju”. Nie ma chętnych na odbiór ogromnej ilości malin. Punkty skupu przyjmują po 500 ton dziennie, choć możliwości dostawców są nieporównanie większe. Nie przewiduje się natomiast obniżki cen przetworów.

● W ostatnim dniu realizowania załączonych kartek czerwcowych w województwie lubelskim brakowało 800 ton mięsa i wędlin, w samym tylko Lublinie — 200 ton.

● W ramach Zamojskiego Łata Teatralnego warszawski Teatr Ochoty wystawił „Zapiski więzienne kardynała Stefana Wyszyńskiego”.

● „Zuk” produkowany w Fabryce Samochodów w Lublinie, sprzedawany jest poniżej kosztów, wytwarzania. Różnica pokrywana jest z budżetu państwa.

● „[...] milicja zrobiła nam reklamę, zamykając kolegów i mnie. Byłam zatrzymywana w czasie kampanii cztery razy [...]”. (Dariusz Wójcik, członek Rady Politycznej KPN, w wywiadzie dla Biuletynu „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego nr 7).

● Wznowiło działalność Kolo Kombatantów Regionu Środkowo-Wschodniego przy NSZZ „Solidarność” w Lublinie. Powołano tymczasowy Zarząd z Bronisławem Pietryką jako przewodniczącym.

● Wojewoda chełmski Jan Łaszcz spotkał się z ordynariuszem Diecezji Siedleckiej ks. biskupem Janem Mazurem. Uczestniczył I sekretarz KW PZPR w Chełmie, Stefan Łyczak.

● W Werbkowicach utworzono Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika Pamięci Narodowej. W 1930 roku odsłonięto w tej miejscowości tablicę pamiątkową, poświęconą obrońcom Polski z lat 1918—20, którą usunęli nieznanymi sprawcy w latach sześćdziesiątych. Tablica ma zostać przywrócona.

● Z wywiadu byłego I sekretarza KW PZPR i z-cy członka Biura Politycznego, Władysława Kruka, dla „Sztandaru Ludu”: „Nie jestem tego pewny czy byłem zaufanym człowiekiem sekretarza Kani. Moje wejście do Biura Politycznego było raczej podyktowane wyrachowaniem. [...] Uważam, że ci, którzy byli wtedy na czele partii i rządu wyznawali sprawdzoną w życiu zasadę: Nie podoba ci się, krytykujesz, to bądźiesz do wdrażał i odpowiadał. Prawdopodobnie na tej zasadzie znalazłem się w Biurze Politycznym”.

Z DARMOWEGO zaopatrzenia w wódkę i spirytus z „Polmosu” korzystali przedstawiciele niemal wszystkich instytucji, władz politycznych i państwowych Lublina. Tymczasem na ławie oskarżonych zasiadała dziś jedynie pracownica „Polmosu” — doniosła „Polityka” 29 października 1988 roku w obszernym artykule pt. „W oparach”, w którym ujawnione zostały kulisy lubelskiej afery spirytusowej.

W niecały miesiąc później siedziałam w największej sali rzeszowskiego zamku, który jest siedzibą tamtejszych sądów, by relacjonować rozpoczynający się proces pracowników Lubelskich Zakładów Przemysłu Spirytusowego i Drożdżowego „Polmos” w Lublinie.

Relację przerwałam w piątym odcinku, kiedy w związku ze stwierdzeniem przez powołanych przez sąd biegłych lekarzy specjalistów, że stan zdrowia oskarżonej Kazimie W. kwalifikuje ją do leczenia szpitalnego, Sąd Wojewódzki zarządził przerwę w rozprawie. Sąd uchylił też areszt tymczasowy w stosunku do Kazimie W., która mogła w ten sposób rozpocząć leczenie w lubelskim szpitalu. Był koniec listopada 1988 roku.

PANIE profesorze, jest pan jednym z dwunastu amerykańskich naukowców biorących udział w programie „Poland Today” (Polska dzisiaj). Wasza grupa reprezentuje rozmaite specjalności od politologii, poprzez historię, socjologię, naukę o masach mediach po teologię i cybernetykę. Przywieźliście dla UMCS czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ufundowany przez Instytut Fulbrighta, a w zamian Uniwersytet organizuje wasz pobyt oraz zapewnia wam kontakty z wybitnymi przedstawicielami polskiego życia naukowego, politycznego, kulturalnego. Spotkaliście się już m. in. z mecenasem Siłą-Nowickim, Krzysztofem Zanussi, profesorem Jerzym Wia-

oba supermocarstwa muszą uważnie przyglądać się tej części świata.

— Ma pan rację. Po okresie marazmu i politycznego dogrzebywania się wątków wspólnych, w Europie pojawiły się tendencje dynamiczne, nowo-kreatywne. Stary Kontynent znów się obudził. W atmosferze powojennych podziałów i „pojaltańskiego kagańca” Europa znalazła w sobie dość siły, by zbudować wysoki ład ekonomiczny i technologiczny. Właśnie to leży u podstaw nowej politycznej jakości, w której europejski cień (w pozytywnym sensie tego pojęcia) zaczyna coraz szerzej rozciągać się nad problematyką globalną. Wszyscy z o-

nacji „stają się Amerykanami” przede wszystkim z powodów ekonomicznych i społecznych. A jednak większość grup etnicznych w USA trzyma się swej rasowej odrębności. Obecnie jest to nawet modne. Każdy gorączkowo poszukuje swoich własnych korzeni. Sądę, że podstawą asymilacji, jeśli się ona w ogóle dokonuje, jest ogromny szans, jakie oferuje Ameryka; szans równych dla każdego. Ja sam przybyłem do Stanów czterdzieści lat temu i znalazłem tam możliwość ukończenia szkoły średniej, zrobienia dyplomu, podjęcia pracy na ważnym uniwersytecie. Ta wolność wyboru i równość szans stanowi część wspaniałej prawdy o amerykańskiej rzeczywisto-

ma wyjścia. Rozmawialiśmy z osobami reprezentującymi rozmaite polityczne opcje; z przedstawicielami kol rządowych, „Solidarności” a także stowidowisk niezależnych od żadnej siły społecznej. Z pewnym zdziwieniem odkryliśmy fakt, iż „Solidarność” nie stanowi monolitu, że jest organizmem bardzo podzielonym. To samo dotyczy zresztą rządzącej partii. Więc kolory: czarny i biały w żadnym razie nie pasują do opisu polskiej rzeczywistości.

Jestem zdumiony, jak poważnie Polacy traktują samych siebie; czasami może nawet zbyt poważnie. Nad całym polskim losem unosi się aura tragizmu, dramatu. Polacy są naro-

„NAD CAŁYM POLSKIM LOSEM UNOSI SIĘ AURA DRAMATU”

(ROZMOWA Z PROFESOREM THEOFANIS M STAVRU Z UNIVERSITY OF MINNESOTA)

trem, redaktorem Wiesławem Górnickim. Czy mógłby pan na początek przybliżyć nam nieco swoją sylwetkę i powiedzieć trochę więcej o programie?

— Nazywam się Theofanis Stavru. Pracuję na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Minnesota. Specjalizuję się w problemach Azji i Europy Wschodniej. Program „Poland Today” ma pomóc nam w zrozumieniu dzisiejszej Polski. Osobiście interesuję się nie tylko teraźniejszością, ale również historią waszego kraju. Do tematu tego doszedłem jakby pośrednio, badając wnikliwie dzieje Rosji. Sądę, iż jest rzeczą ważną odwiedzenie kraju, na którego temat ma się zamiar wygłaszać opinie. Jest to moja pierwsza wizyta w Polsce i od początku przynosi mi ona wiele satysfakcji.

To, co dzieje się obecnie w Polsce obserwowane jest na Zachodzie z ogromnym zainteresowaniem. Jest to w istocie część ważkiego pytania, jakie zadają sobie od lat nasi politycy i politolodzy: czy i jakim przemianom mogą podlegać reżimy komunistyczne? Wydarzenia w ZSRR, w Chinach przed 4 czerwca, także w Polsce i na Węgrzech tworzą zespół najważniejszych zagadnień politycznych współczesnego świata. To dobrze, że trafiliśmy do waszego kraju w okresie przełomowym, w dobie przemian niosących, jak się wydaje, głębokie jakościowe przeobrażenia mogące rzutować nie tylko na przyszłość tego regionu, ale również na przyszłość całej międzynarodowej społeczności.

Od szeregu lat amerykańskie badania nad Europą Wschodnią utknęły w miejscu. Ta część kontynentu pogrążona była jakby w głębokim śnie. W naszej politologii dominowała zdecydowanie kwestia radziecka. Obecnie nakazem chwili stało się uważne obserwowanie tego, co dzieje się tu czy na Węgrzech.

— Czy nie sądzi pan, że owo zainteresowanie ma również szerszy, ogólnoeuropejski kontekst? Widząc w perspektywie silną, zjednoczoną Europę Zachodnią i obserwując odśrodkowe tendencje państw Europy Wschodniej,

gromnym zainteresowaniem czekamy na to, co przyniesie rok 1992.

— Przygotowując się do tego wywiadu natrafiłem na informację, iż był pan przewidywany na stanowisko ambasadora USA w Polsce w przypadku, gdyby prezydentem Stanów Zjednoczonych został Michael Dukakis?

— To prawda. Niestety Dukakis przegrał. Mówię „niestety”, ponieważ uważam go za bardzo ciekawego polityka. Być może było jeszcze w przeszłości na jego zwycięstwo. Kampanię rozpoczął brawurowo, ale pod koniec popełnił kilka błędów, które zaowocowały porażką.

— Jakże to były błędy?

— Myślę, że przede wszystkim jego osobisty upór, ignorowanie opinii doradców, a także stan pewnej euforii, której poddał się po zwycięstwie w początkowej fazie rywalizacji o Białą Dom. Były również i takie głosy, iż jego greckie pochodzenie przeszkodziło mu w wyborze, że anglosaska większość w USA nie była jeszcze gotowa, by zaakceptować na stanowisku prezydenta, przedstawiciela etnicznej mniejszości. Paradoks ten doskonale ujął senator McCarthy, który po wyborach przysłał mi list, w którym napisał, iż Dukakis przegrał, gdyż „nie prowadził kampanii jak Grek, lecz jak typowy Jankes”. Jak więc pan widzi, problemy mniejszościowe mają w Ameryce wiele rozmaitych podtekstów.

— I jest to dobry punkt wyjścia do mojego następnego pytania. Nasze piśmo zajmuje się, jak pan wie, m. in. problematyką przenikania kultur, problematyką pogranicza, mniejszości narodowych, etnicznego tygla. Pan Dukakis, będąc Amerykaninem zaledwie od jednego pokolenia, omal nie sięgnął po najwyższą godność w państwie. Na czym więc polega ów narodowościowy fenomen Ameryki, sprawiający, iż kraj ten wchłania rozmaite nacje i w ciągu krótkiego czasu przemodelowuje je w jeden, spójny naród?

— Proces asymilacji amerykańskiej nie jest taki prosty. Nie dokonuje się „z automatu”. Przedstawiciele różnych

ści. Każdy może tam zrobić ze swoim życiem, co tylko zechce.

Pański szef pytał mnie o to, który z czynników: ekonomiczny czy humanistyczny przyspiesza bardziej procesy akulturacji, procesy asymilacyjne. Sądę, że czynnik technologiczny funkcjonujący w sferze społecznej mobilności, ekonomicznej efektywności, podstawowych pragnień konsumpcyjnych człowieka jest silniejszy. Z drugiej wszakże strony — katalizator: n podtrzymującym etniczną odrębność okazuje się zwykle jakaś instytucja, bądź szczególnie silna osobowość. W niektórych wypadkach jest to kościół, w innych grupa intelektualistów. Cały proces odbywa się więc na obu płaszczyznach, aspekt praktyczny jest jednak czynnikiem działającym bardziej bezpośrednio.

— Czy mógłby się pan teraz pokusić o odpowiedź na pytanie: jaka jest dzisiaj Polska?

— Poznajemy ją nie tylko z własnej obserwacji, ale także poprzez opinie różnych ludzi. Stąd moje wrażenie, iż nie istnieje jedna Polska, ale co najmniej sto jej odmian. Ten kraj jest niezwykle skomplikowany, a jego problemy złożone. Z mojego punktu widzenia, z punktu widzenia intelektualnego, wasz kraj stanowi jedno z najbardziej inspirujących doświadczeń przez jakie przeszedłem. Wiem, że po był tutaj bardzo mnie wzbogaca. Oczywiście dopiero zaczynamy dopracowywać się pewnych prób syntezy. Przeszkadza nam w tym tzw. syndrom turysty, który pierwszego dnia pobytu w jakimś kraju sądzi, że już go dobrze poznał, po tygodniu dostrzega, że wie coraz mniej, by po miesiącu uznać, że nie wie już nic.

Rzecz, która szczególnie nas uderzyła w waszym kraju, jest fakt, iż wszystkie nasze rozmowy nieodmiennie oscylowały wokół problematyki gospodarczej. Byłem także zdziwiony, iż większość ludzi widziała przyszłość polskiej ekonomii pesymistycznie. Tylko jedna osoba wyraziła „ostrożny optymizm”. Sprawiało to wrażenie jakby polskie społeczeństwo znalazło się w jakimś ślepym zaułku, z którego nie

dem bardziej wysublimowanym niż na przykład Rosjanie, ale — jak twierdzą sami — jest to przecież kraj inteligencji. To pozytyw, ale i do pewnego stopnia nieszczyście. Wydaje mi się, że na pewnym etapie rozwoju zabrakło wam „stanu trzeciego” — silnego mieszczaństwa czy burżuazji, które byłyby rzeczywistymi elementami stabilizacji społecznej kraju. Uderzył mnie w Polsce fakt, iż tutaj człowiek wykształcony wstydi się pracy fizycznej, że — jak niegdysiejszy szlachcic — w istocie gardzi nią. W Ameryce coś takiego jest nie do pomyslenia. Tam liczy się tylko to, co człowiek potrafi sam wypracować i nie jest ważne, czy dokonuje tego rękoma, czy głową. Każda praca jest dobra, jeśli tylko pozwala na zapewnienie sobie i najbliższym godziwych warunków życia. Polacy, podobnie jak Grecy, zbudowali sobie własną mitologię, romantyczny obraz przeszłości. Każdy wykład, jakiego tu słuchaliśmy brał za swój początek rozbiory Polski. Ale między ideałem a rzeczywistością zawsze istniała i będzie istnieć ogromna luka. Brak mi trochę w waszym kraju etosu pracy: mówczej, zapobiegliwej, wytrwałej pracy, bez której nie można zbudować dostatecznego życia. Sądę, że fakt ten w dużym stopniu rzutuje na obecny pesymizm Polaków.

— Czy nie uważa pan wszakże, iż szczytą optymizmu napawać może fakt, iż teraz rozmawiamy ze sobą językiem nowoczesnej cywilizacji i rozumiemy się bez trudu — pan, Amerykanin greckiego pochodzenia i ja — Polak? Czy nie w tym właśnie tkwi optymizm świata?

— Myślę, że tak, że ma pan rację i że najważniejsze jest to, iż rozmawiamy bez kompleksów i w tym samym obszarze ludzkiej i cywilizacyjnej troski. Dlatego życzę Polakom pomysłowości, a nade wszystkim aktywności, która nie pozwoli im odpaść na trwałe od wielkiego dorobku ludzkiej myśli i światowych trendów rozwojowych.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

„POLMOS” PRZED SĄDEM (6)

Izabella Wlazłowska

Do tej pory Sąd Wojewódzki w Rzeszowie uchylił areszt tymczasowy wobec prawie wszystkich oskarżonych. Jedynie Włodzimierz T. — kierownik rozlewni, nadal przebywał w areszcie śledczym.

W grudniu 1988 roku obrońca Włodzimierza T. złożył wniosek o uchylenie aresztu tymczasowego z uwagi na zły stan zdrowia oskarżonego.

20 grudnia Sąd Wojewódzki w Rzeszowie wydał postanowienie o dopuszczeniu dowodu z opinii biegłych z zakresu chorób wewnętrznych i kardiologii ze Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie z zaznaczeniem potrzeby ustalenia, czy dalszy pobyt w areszcie może spowodować dla jego życia lub zdrowia poważne niebezpieczeństwo.

30 grudnia lekarze w opinii stwierdzili: „dalszy pobyt chorego Włodzimierza T. w warunkach aresztu śledczego zagraża jego zdrowiu”. Sąd u-

chylił areszt tymczasowy. Od 13 do 21 stycznia Włodzimierz T. przebywał w szpitalu.

Tymczasem oskarżony Józef K., który w „Polmosie” pełnił funkcję zastępcy dyrektora, zwrócił się do sądu z prośbą o wyrażenie zgody na uzyskanie paszportu na wyjazd do NRD i na Kubę. Na Kubę zaproszony został bowiem osobiście przez ministra przemysłu cukrowniczego. 4 stycznia tego roku sąd odmówił wyrażenia zgody na uzyskanie paszportu na wyjazd, bowiem na styczeń i luty wyznaczone zostały kolejne rozprawy w tym procesie.

16 lutego na rozprawę stawili się oskarżeni: Włodzimierz T., Franciszek Ł., Józef K., Włodzimierz W. Nie przybył do sądu: Kazimierz W. i Alina Ł. Obrońca Aliny Ł. powiadamia sąd, że oskarżona przesyła zwolnienie lekarskie, ponieważ jest chora na grypę. Włodzimierz T. przedłożył sądowi zaświadczenie lekarskie, z którego wynika, że w aktualnym stanie zdro-

wia nie może uczestniczyć w rozprawie sądowej w okresie 3-4 miesięcy. Prokurator wnosi o komisyjne przebadanie oskarżonego. Sąd rozprawę odroczca.

15 maja do sądu wpłynęła opinia lekarska o stanie zdrowia Kazimierza W. oraz Włodzimierza T. Zarówno w jednym jak i w drugim przypadku, stwierdzone przez lekarzy zmiany chorobowe nie pozwalają na branie udziału w rozprawie przed sądem.

Rozprawa główna wyznaczona została na 30 maja. Jest dwóch prokuratorów, są oskarżeni, z wyjątkiem Włodzimierza T., i Kazimierza W.

Obrońca Włodzimierza T., wnosi o wyłączenie jego sprawy do odrębnego postępowania z uwagi na zachodzące przesłanki z art. 15 par. 1 kpk. Sąd — stwierdza obrońca — może nawet rozważyć czy nie jest celowym przekazanie tej sprawy do rozpatrzenia przez Sąd Wojewódzki w Lublinie.

Prokurator Franciszek Belczowski z Tarnobrzega sprzeciwia się wyłączeniu sprawy Włodzimierza T. a co za tym idzie — zawieszeniu postępowania w stosunku do niego. Dobro wymiaru sprawiedliwości — stwierdza prokurator — wymaga bowiem, aby oskarżony T. odpowiadał przed sądem z pozostałymi współoskarżonymi.

W rozprawie uczestniczy również prokurator Zefir Jeleń z Krakowa. Obaj prokuratorzy zgodnie oświadczają, że mając na uwadze orzeczenie lekarskie dotyczące Kazimierza W. uważają wyłączenie sprawy przeciwko niej i zawieszenie postępowania za zasadne.

Sąd Wojewódzki w Rzeszowie postanowił wyłączyć postępowanie karne przeciwko Włodzimierzowi T. i Kazimierzowi W. oraz zawiesić postępowanie przeciwko nim na czas trwania przeszkody, czyli ciężkiej choroby.

Rozprawa jest kontynuowana. Prokurator przeczytał akt oskarżenia przeciwko Alinie Ł. Pada sakramentalne pytanie: „czy oskarżona przyznaje się do zarzucanych jej czynów?”

Alina Ł. rozpoczyna składanie wyjaśnień.

(cdn.)

NIE BARDZO WIEDZIAŁ, CO MA W DOMU I W PIWNICY

ROGI PANA DYREKTORA

Henryk Makarski

-NIGDY od nikogo nie żądałem korzyści majątkowych, a wręcz przeciwnie: ludzie sami spontanicznie wściskali mi różne rzeczy. Na przykład taka Krystyna S. przyniosła mi poroże jelenia, do bagażnika włożyła, ja je wyrzuciłem do pojemnika na śmieci. Rano patrząc, a te rogi leżą w garażu Urzędu Wojewódzkiego. Jeden z mechaników do mnie: „panie dyrektorze, chyba pan zgubił rogi?”. To co, miałem wywołać zbiegowisko, sensację, wyprawdzać się przed hordą? Zabrałem je, wrzuciłem do piwnicy.

— Ludzie są okrutni! Przychodzili do mnie do domu, podrzucali koperty. Nawet biegali za nimi, chciałem oddać, ale uciekali. Taki G., na przykład. Kopertę wcisnął pod wiatrolapem przed moim domem i uciekł. Te koperty dałem na tacę w kościele. Nie wienyż pani? Drugą odesłałem pocztą, połowitowania nie posiadam, niestety. W pracy też mi nie dawali spokoju. A to zostawili reklamówkę koło biurka, a w niej 50 dolarów i jakieś koniaki, a to jakieś zachodnie czekolady i cytrusy, a to szynki „Krakus” i kiełbasy wiejskie, a to opony radialne czy lakier samochodowy. Jakaś kobieta próbowała wcisnąć mi coś do malej kieszoneczki w marynarce, ale nie wiem, czy to się jej udało. Dopiero po dwóch tygodniach, gdy oddawałem garnitur do pralni, zauważyłem dwa złote pieniądze.

— Od dłuższego czasu nosiłem się z zamiarem powiadomienia organów MO o pewnych faktach, ale nie wiedziałem do kogo mam się zwrócić... — wyznał bezradnie mgr Józef P., posmutniał i zajął, na wszelki wypadek w niebieskie oczy por. Cecylii Czerskiej, kobiety też dyplomowanej, i niesłychanie subtelnej, aczkolwiek bardzo skutecznej w swoim fachu. Przesłuchiwaną usypiała jej kobiecość, popełniali błędy. Józef P. też zapominał, gdzie się znajduje i raz jeszcze dochodzeniowa psychologia zwyciężyła...

W czasie przeszukiwania piwnicy magistra Józefa P. okazało się, że jego bezradność wobec nachalnych i blyskawicznie znikających klientów była niezmierną: 2 złote dukaty, 5000 dolarów ukrytych w słoiku, marki RFIN, futrzaki do samochodu, złote kolczyki, no i żywność, którą można by zapelnąć magazyn niejednego „Pewexu”. Baterie najdroższych koniaków sasiadowały z wyłowioną zakąską, portfeliki z setkami tysięcy złotych skromnie przyczepnyły w cieniu dewiz, a beczulki piwa z „Bałtony” drzemały w towarzystwie egzotycznych używek i odżywek...

46-letni magister Józef P., mąż nauczycielki, z urzędniczej pensyjki zgromadził tak olbrzymi majątek, że już nie bardzo wiedział co ma w domu i w piwnicy. Żył mu się dostatnio, lub — jak się mawia ostatnimi laty w kręgach żyjących w przepychu ze skromnego „oo laska” — godziwie. Dom, parcela, w garażu samochód zagranicznej marki. Tajemnica prywatnego cudu gospodarczego Józefa P. wyjaśniła się, gdy do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Nowym Sączu zaczęły napływać sygnały o łapówkarskich obyczajach prominentów, odpowiedzialnych za zagraniczne kontrakty naszych obywateli.

WOJEWÓDZTWO nowosądeckie jest szczególnie zainteresowane pracą w Czechosłowacji i NRD. Takie „sąsady”, po przeliczeniu na złotówki, dają trzykrotnie większe dochody niż praca w kraju, no i daleko podróżować nie trzeba. Stąd skierowanie do pracy „tam” jest atrakcyjnym towarem i — jak wszystko co atrakcyjne — ma swoją cenę, nie za darmo. Wysłał za granicę wydział zatrudnienia UW w Nowym Sączu, którego dyrektorem był właśnie mgr Józef P., posiadacz — i dystrybutor zarazem — dóbr wielkiej wartości.

W kontaktach z miejscową ludnością milicja ustaliła, że takie skierowanie do zagranicznej pracy nie kosztuje mniej niż 20 dolarów lub 50 tysięcy zł. Wszczęto postępowanie przygotowawcze, którym objęto 31 osób podejrzanych, w tym dwie tymczasowo aresztowane. Ilość czynów przestępczych sięgnęła liczby 90. Przesłuchano ponad 300 świadków; 43 osoby potwierdziły fakt ofiarowania dóbr materialnych Józefowi P. oraz kierownikom grup pracujących za granicą: Janowi K. i Teresie K.

Przerwana została działalność przestępcza, zwolniono nieuczciwych urzędników z pracy, zlikwidowano fikcyjny nabór pracowników prowadzony rzekomo przez przedsiębiorstwa; ze 100 osób skierowanych za granicę (teoretycznie) przez zakłady pracy, aż 98 skierował (praktycznie) pan dyrektor P. Wiele wysiłku kosztowało por. Cecylię Czerską ustalenie osób, które „opłacili się”. Czy tylko ją? Chyląc czoła przed jej subtelnyimi metodami pracy, dodać jednak należy, że każda taka sprawa, to żmudna praca wielu milioantów. O skali milicyjnego trudu świadczy fakt, iż takich „gastarbeiterów” na ziemi sądeckiej jest kilka tysięcy. Dodatkową komplikacją był bałagan i nierzetelność ewidencji, do której swoje trzy grosze wtrącały też organizacje społeczne i młodzieżowe.

Drugą fazą pracy operacyjno-dochodzeniowej była znacznie trudniejsza: jak przekonać tych co dawali łapówki, by dali świadectwo prawdzie? Nikomu przecież nie spieszy się do dobrowolnej odpowiedzialności karnej... Przeworządność, zwłaszcza teraz, jest superpraworządna i wystarczy choćby jedno ogniwo słabsze, by w sądzie popełkał łańcuch dowodów.

— Doprowadził mnie do takiego stanu niemocy Jan K., były naczelnik gminy w K., który przyjechał z podaniem o skierowanie za granicę i kilkakrotnie mnie męczył kopertami, w których było od 30 do 80 tysięcy złotych — skarżył się Józef P. na inżyniera, którego także postawiono przed sądem, zarzucając mu pośrednictwo między panem dyrektorem a chętnymi na wyjazd, od których przyjął (Jan K.) półtora miliona złotych i 70 bonów PKO. Jeden z „maluczkich”, Henryk C., powiedział: „Wtedy to zaprosiłem inżyniera Janą K. do knajpy „Myśliwskiej” w Limanowej. Byliśmy w pomieszczeniu na górze i rzetelnie opiliśmy się. Wtedy też dogadaliśmy się...”

Wspomniana już Krystyna S. wręczyła Józefa P. nie tylko to nieszczęsne poroże. Na wyraźne żądanie pana dyrektora dała mu 200 tysięcy zł i dopiero wtedy otrzymała od niego formularze skierowań in blanco, 50 sztuk. W domu wypisywała je na określone nazwiska zaufanych — i oplaco-

nych — kandydatów, wklejała zdjęcia. Nazajutrz rano dyrektor Józef P. podpisał i opieczętował tak sfabrykowane dokumenty. Czy można było nie dać lub dać za mało? Owszem, ale wtedy czekało się tak długo jak Wiesław C., który dał najpierw tylko 20 tys. zł, a dokument otrzymał dopiero za pół roku, kiedy dopłacił 15 „kawalków”...

DOKŁADNIE w rok po aresztowaniu Józefa P. Sąd Wojewódzki w Nowym Sączu ogłosił wyrok:

- 1) Józef P. za proceder trwający prawie 8 lat i wyceniony — skromnie licząc — na ponad 2 mln przyjętych łapówek, został skazany na 4 lata pozbawienia wolności i konfiskatę mienia w postaci samochodu, oraz grzywnę w wysokości 1 mln zł;

- 2) Jan K. — 2 lata i 6 miesięcy więzienia, 1 mln zł grzywny;

- 3) Teresa K. — 2 lata pozbawienia wolności w zawieszaniu na 3 lata, oraz 200 tys. zł grzywny;

- 4) Wiesław G. — 6 miesięcy więzienia i 50 tys. zł grzywny;

- 5) Krystyna S. — 70 tys. zł grzywny.

Czołowa trójka sądeckich łapowników otrzymała też zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych na okres od 5 do 8 lat. Jak ważna to dolegliwość, niech świadczy przykład nie kogo innego, jak samego Józefa P. Otóż w lutym 1987 roku wojewoda, wskutek różnych sygnałów świadczących o lepkich dłońach dyrektora P., odwołał go z zajmowanego stanowiska, karząc przeniesieniem na... inne stanowisko kierownicze w tymże UW! W takim układzie Józef P. mógł spokojnie kontynuować przestępczą działalność. Nadal pośredniczył w sprawach zagranicznych wyjazdów. Wprawdzie nie był już dyrektorem wydziału zatrudnienia i podpisywał zezwolenia bezprawnie, ale widać nikomu to nie przeszkadzało, skoro interes kwitł jak dawniej...

— To przecież paranoja, a nie świadoma polityka kadrowa. Aż dziw bierze, że dyrektor Józef P. uprawiał swój proceder bezkarnie przez 7 lat, a nikt z najbliższego otoczenia urzędniczego nie dostrzegwał nagannych praktyk swojego szefa czy kolegi po fachu. Jak było możliwe jednoosobowe decydowanie o podziale tak atrakcyjnego dobra jak praca za granicą? Kto był odpowiedzialny za nadzór nad pracą dyrektora Józefa P.? — zastanawia się por. Cecylia Czerska, starannie dobierając słowa. Dyskretnie poprawia gnakijaż i z kilkoma tomami akt wychodzi z pokoju. Nie wygląda na osobę zdenerwowaną. Ona już przywykła do tego, że obowiązkiem milicji jest napracować się, wyprodukować kilkanaście — a czasami i kilkadziesiąt — tomów akt, by w końcu przełknąć gorzką pigułkę: wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego, często wręcz go uniewinniają, a już na pewno nie demaskują tego, który za tym wszystkim stoi...

Porucznik Cecylii Czerskiej czasami wydaje się, że jej koszmarny sny są tylko jej prywatnym zmartwieniem. No, może jeszcze zmartwieniem kilku kolegów i naczelnika wydziału. A czym zmartwieniem jest fakt, że na sali sądowej okazało się, iż świadkowie nie zmienili zeznań tylko w stosunku do Józefa P., który przez cały czas przebywał w areszcie i nie miał do świad-

ków dotarcia? Wobec podejrzanych, którzy odpowiadali z tzw. wolnej stopy (areszt nie był stosowany lub został uchylony) zachowywali się rozmaicie, najczęściej nabierali wody w usta...

— Trzeba powiedzieć sobie jasno, że pomimo humanizacji przepisów postępowania karnego i rysujących się tendencji unikania środków przymusu (bo za taką uważa się tymczasowe aresztowanie), zastosowanie środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania w znacznym stopniu ułatwia ograniczenie dochodzenia do prawdy. W tej sprawie widać, jak izolacja łapownika wpływa stabilizującą na postawy świadków w procesie, a jej brak — wypacza śledztwo. Wobec Jana K. uchylono tymczasowe aresztowanie przed rozprawą sądową. Efekt? Wszystkie, tak, wszystkie zeznania zostały zmienione na korzyść tego oskarżonego. Inaczej być nie mogło, bo przecież świadkowie wywodzili się z tego samego środowiska co Jan K., kierującego się prostym mechanizmem: „dasz — pojedziesz, nie dasz — nie pojedziesz”. Tak stwierdził naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego WUSW w Nowym Sączu ppłk Andrzej Buczyński.

Gawędzimy z pułkownikiem Buczyńskim o tym i owym, wspominamy Szczytno. Byliśmy wtedy obaj szczuplejsi o te — skromnie licząc — 25 kilogramów. I srebra na skroniach jeszcze widać nie było. I kłopotów zawodowo-rodzinnych jakby teraz więcej, a entuzjazmu życiowego jakby mniej... W końcu to okrągle 20 lat się nie widzieliśmy, 20 lat użerania się tu i ówdzie z tymi, którzy koniecznie chcą pokazać światu, że czarne jest białe. I pokazują...

SIEDZĄC wygodnie w autobusie do Krynicy podziwiam ziemię sądecką. Podziwiam upór ludzi, kierowanych przez Andrzeja... Turystyka i przestępczość wędrowną, potężny handel, znaczący przemysł, przetwórstwo rolne i sadownictwo, no i eksport siły roboczej. W każdej z tych dziedzin afery były, są i — obym się mylił, — będą. Praśa donosi, że w Zakopanem mają zlikwidować działalność rozrywkową w lokalach gastronomicznych, jako nierentowną. Ubawy w zakopiańskich knajpach nie są rentowne?! Deficyt był, ówszem, ale jego prawdziwą przyczynę zna tylko milicja: kierownicza lokalu X przywłaszczała pieniądze za bilety wstępu. I tak długo nikt jej nie rozliczał, aż musiała wkroczyć milicja. Kiedy fachowcy ppłk. A. Buczyńskiego uporali się z 13-milionową spekulacją artykułami przemysłowymi w Gorlicach, wpadli na trop afery w Jordano-wie (kradzież armatury wartości 3 mln zł). A ludzie sami ułatwiają proceder złodziejom, przez swoją niefrasobliwość. Przestrzeganie przed nosiszeniem milionów w portfelu należy już, w czasach galopującej inflacji, do banałów. Ale jak określić iloraz inteligencji człowieka, który zostawia na noc w samochodzie, łatwym do otworzenia choćby agrafką, sprzęt narciarski wartości miliona złotych, bo nie chce mu się przenieść sprzętu kilkanaście metrów dalej? A już pozostawienie przed wejściem do jaskini (czy u podnóża góry) plecaków bez żadnej opieki i dziwienie się później, że w PRL są złodzieje — graniczy z kabaretem! Bo tylko w kabarecie można wpaść na tak genialny pomysł, by przy każdym samochodzie czy plecaku miał obowiązek warować milicjant, gdyż „mu za to płacą, że ho-ho!”

W CZASACH „niezapowiedzianych” wizyt Edwarda Gierka, na wsi działy się „cuda”. Chłopom przybywało inwentarza, a zagrody wyglądały jak w dniu dożynek. Wybierani na „chybil trafili” gospodarze byli na ogół członkami POP i aktywnymi działaczami społecznymi. Przekazy telewizyjne i prasowe z owych lustracji przedstawiały obraz „wsi spokojnej, wsi wesolej”. Przystąpił rok 1980, dobrobyt prysnął jak mydlana bańka i okazało się, że polska wieś daleka jest od obrazu, który dotychczas utrwalaly mass media, od przedowego optymizmu i zadowolenia. Pozostały jednak pewne nawyki...

Było tak. W „Sztandarze Ludu” (15.05.89 r.) ukazał się artykuł p. K. Kasprzaka pt. „Gdy są chęci” z cyklu „Partia na wsi”. Artykuł jak artykuł: emocji prasowych nie wzbudził, ale w chłopów z Matczyna-Wojcieszyna (gm. Bełżyce) jakby piorun strzełł.

— Nie jesteśmy już ciemnymi chłopami, którymi można manipulować do woli — mówią zdenerwowani. — Jeżeli się o nas pisze, to trzeba pisać

zdań, których treści specjalnie się nie dziwie. Kasprzak dostał polecenie napisania o partii w trakcie kampanii przedwyborczej i napisał...

— Tak się nie robi — przerywa chłop z końca sali — to nie w porządku. Kampania, kampania, a prawdę trzeba napisać. Partia jest u nas mniejszością, a i to tylko dwóch jej członków stale uczestniczy w czynach społecznych.

— Sekretarzu — dodaje Stanisław Pietras — pan zrobił świństwo nam wszystkim mówiąc te słowa. Pan chciał się wykazać, a my co? Mamy wszystko przyklepać? Kiedyś klepałiśmy, teraz nie będziemy. Nie te czasy. I już znacznie ciszej do sąsiada: — Pewnie mnie zaraz wpisze na czarną listę.

Ktoś z sali rzuca propozycję przeczytania głośno całego artykułu. Ktoś inny macha ręką, że niby po co jeszcze raz wałkować. Nic się i tak nie zmieni. Monopol partyjny był i będzie. To pewnie jak amen w pacierzu. Większość jednak nie rezygnuje. Oni chcą mieć czarno na białym, co i jak było. Po chłopsku, bez owijania w bawełnę.

Wszyscy pracowali bez podziałów na zielonych czy czerwonych, chociaż tych pierwszych było znacznie więcej. Po co więc teraz mówić takie rzeczy do prasy? A jeżeli nie mam racji, to niech pan wymieni, oprócz Ozimka i Wieczorkiewicza, członków POP, którzy na wsi cokolwiek robili.

— Trzeba sobie powiedzieć otwarcie — dodaje — ich po prostu z nami nie było.

— Dobrze mówi! — krzyczą chlapi. — Gdzie jest pierwszy sekretarz POP, Bednarczyk? Dlaczego na zebranie nie przyszedł? A złoty krzyż w dożynki to za co dostał? Za krowy, które u siebie obrządzal? Działurze też nie po drodze było dzisiaj do remizy, — ironizują.

Zaczyna się harmider. Chłopi na dobre się rozdyktowali. Chcą powiedzieć o wszystkim co leży im na wątrobie. Niecodziennie spotykają się z pierwszym sekretarzem z Bełżyc.

Rozemocjonowanych ucisza Stanisław Janik.

— Nie staję tu pod przegierzem — mówi — i proszę nie robić żadnych wycieczek pod czyimkolwiek adresem. W ten sposób daleko nie zajdziemy. Ci co mnie znają, wiedza, że nie jestem

wszystko byłoby w porządku. Nikt nie miałby do nikogo pretensji, a tak...

— Co się dziwisz Ziemieńska, — podkpiwa któryś z chłopów. — Partia jest słabutka, to sobie musi dorabiać w gazecie.

Śmiech na sali. Po chwili sekretarz Janik przywołuje zebranych w remizie do porządku. Bez takich dowcipów — prosi. Śmiech cichnie. „Pierwszy” mówi o ogólnej sytuacji w Polsce. O tym, że dziś już nie istnieją podziały na silnych i słabych. Cały kraj odczuwa kryzys gospodarczy. Więc nie ma co się licytować — kończy.

— A kto do tego doprowadził? — pytają chlapi. — My? U nas w chlewie inflacji nie ma. Dopiero na skupie widać, jak złotówka leci na łeb, na szyję, a podatki płacić trzeba.

Takich pytań jest znacznie więcej. — Cicho chlapi! — uspokaja zebranych Stanisław Jęczeń. — Ozimek chce mówić.

Ozimka słuchają wszyscy. Jest ich, tutejszy. Wierzą mu. Przynależność partyjna nie ma dla nich żadnego znaczenia. Ludzi oceniają po pracy, a nie po kolorze legitymacji.

Prosto i bez zbędnych frazesów opo-

„MY SĄ SWOJE CHŁOPY I SZYLDÓW NAM NIE POTRZEBA” NA CHŁOPSKI ROZUM

Zbigniew Dzieciotek

prawdę, a nie dyrdymały wyssane z palca.

„Nie chciałbym być zarozumiały — czytam fragment wypowiedzi Stanisława Janika, I sekretarza KMG PZPR w Bełżycach, przytoczonej w relacji K. Kasprzaka — ale głównym inicjatorem poczyni tu (w Matczynie-Wojcieszynie — przyp. aut.) podejmowanych jest licząca 10 członków POP. Szczególnie dużą aktywność wykazuje Jan Ozimek, członek KW PZPR. Do wyróżniających się w pracy społecznej należy jeszcze zaliczyć: Bogumiła Bednarczyka — I sekretarza miejscowej organizacji, Mariana Dziadurę, a także Czesława Wieczorkiewicza [...]. Przy tego typu ludziach łatwiej realizuje się partyjne obowiązki”.

— Panie, toż to kpiny — mówi soltys w Matczynie-Wojcieszynie, Zdzisław Bednarczyk. — Po przeczytaniu mało mnie krew nie załala. Gdzie tu partii szukać? Kiedy powstał projekt budowy remizy, posłaliśmy ze sprawą do pierwszego sekretarza POP we wsi, Bogumiła Bednarczyka. Wysłuchać, wysłuchać, ale powiedział, że robić nie będzie, bo musi świnie w domu obrządząć. Remiza stanęła i bez niego.

— Dziadura też nie lepszy — dodaje. — Przy remizie palcem nie kiwnął, a i przy chodniku, cośmy go przez wieś robili, nikt go nie widział. O Ozimku i Wieczorkiewiczu złego słowa nie powiem, bo się natyrali porządnie. Zresztą jak większość ludzi na wsi. A w artykule wyszło, że to partia wszystko załatwiła. Teraz budujemy wodociąg i przygotowujemy się do gazyfikacji wsi. Pewnie znowu przyjedzie jakiś redaktor i napisze, że dzięki partii mamy wodę i gaz.

— Dzwoniłem do pana Kasprzaka — wtrąca syn soltysa, Czesław — ale powiedział, że nie przyjedzie, bo nie ma czasu, a wypowiedzi w usta nikomu nie wkładał i pod niczyje dyktando nie pisał.

Ziemieńska pierwsza przysłała do soltysa, żeby zorganizował zebranie w remizie i zadzwonił do pierwszego sekretarza w Bełżycach. Niech przyjedzie i wytłumaczy ludziom, kto tu z kogo robi wariatą. Chłopi ją poparli. Nikt nie będzie bezprawnie pisał wydumanych laurów — stwierdzili jedno-głośnie.

Jak postanowili, tak zrobili. Późnym wieczorem w czwartek, 15 maja do remizy, zamienionej tego dnia na salę zebrań, zaczęli schodzić się ludzie. Sekretarz Janik z soltysiem siedzieli już za stołem. Przed nimi, na krzesłach poustawianych w rzędy, rozsiadli się chlapi, czekając cierpliwie co powie „pierwszy”.

— Osobiście uważam — zaczął Stanisław Janik — że cały artykuł jest pozytywny. No, może z wyjątkiem kilku

— Niech Ziemieńska czyta — podnosi się głosy. — Zawsze to baba, a i czytanie składnie pójdzie.



„Kiedy budowaliśmy remizę nie było podziałów na »zielonych« i »czerwonych«” — mówi Ziemieńska.
Fot. Waldemar Stępień

Wstaje Teresa Ziemieńska i zdanie po zdaniu czyta cały artykuł, akcentując szczególnie wypowiedź pierwszego sekretarza, która najbardziej rozdrażniła chłopów. Śmiech i szmery rozmów na sali towarzyszą lekturze tekstu...

„Przykład Matczyna-Wojcieszyna — kończy Ziemieńska — potwierdza, że na wsi są nadal organizacje partyjne i zaangażowani członkowie partii, którzy cieszą się autorytetem w swoim środowisku i są motorem wspólnych działań...”.

Ludzie nerwowo kręcą się na krzesłach. Dla nich to czcza gadanina. Słuchali jej przez czterdzieści lat i zawsze wierchuszka musiała mieć rację. Nigdy chłop. Myśleli, że teraz będzie inaczej, a okazało się, że wszystko idzie po staremu, jak dawniej.

Kobieta skończyła czytać, odłożyła „Sztandar” na krzesło i odwróciła się do Stanisława Janika.

— Szanujmy się nawzajem sekretarzu — zaczęła. — Kiedy budowaliśmy remizę, chodnik, a i teraz wodociąg, to nikt nikogo nie pytał o przynależność partyjną. Robiliśmy przecież dla siebie.

człowiekiem od nakręcania konfliktów społecznych. Świadczą o tym chociażby moje więzi z księdzem proboszczem. Musicie jednak pewne rzeczy zrozumieć. Trwa kampania przedwyborcza, a nie będę ukrywał, iż kondycja mojej partii nie jest mocna. Nic więc dziwnego, że dziennikarze szukają nośnych propagandowo tematów.

— Ale nie naszym kosztem — wyrywa się niepokorny Pietras.

— Proszę mi nie przerywać — upomina chłopca Janik. — Ja wam nie przeszkadzałem.

Po chwili przerwy pierwszy sekretarz KMG w Bełżycach kontynuuje wypowiedź. Mówi, jak doszło do spotkania z redaktorem Kasprzakiem i jak ono miało przebieg. Rozmawiali krótko, bo K. Kasprzak spieszył się do Opoli. W kilku zdaniach przedstawił mu osiągnięcia wsi i perspektywy rozwoju na przyszłość. Powiedział, kto jest sekretarzem POP i jak wyglądają szkolenia ideologiczne. Stąd zapewne — twierdzi St. Janik — nazwiska Bednarczyka i Dziadury znalazły się w artykule. Później pan Kasprzak pojechał do Matczyna-Wojcieszyna, a tu jak wszyscy wiedzą, rozmawiał z nim Czesław Wieczorkiewicz.

— Jeszcze raz powtarzam — kończy „pierwszy”. — Mnie w tym artykule prawie nic nie razi, oprócz zdania o partii jako inicjatorce wszystkich poczyni na wsi. Ale ja tego nie powiedziałem. To „włożył” mi w usta K. Kasprzak. Ja mówiłem o wszystkich, a przy okazji tylko wymieniłem członków POP. A w ogóle postawiłbym redaktorowi dużą wódkę za to, że rozstawił w prasie naszą okolicę.

Chłopi jednak są nieustępliwi. Chcą dociec, jak z tą wypowiedzią w gazecie rzeczywiście było. Syn soltysa powtarza jeszcze raz przy wszystkich rozmowę z dziennikarzem „Sztandaru Ludu”.

— To pan dzwonił do „Sztandaru”? — retorycznie pyta sekretarz. — Teraz już rozumiem, dlaczego pan Kasprzak obraził się i powiedział, że więcej o gminie Bełżyce nie napisze.

Wstaje zdenerwowana Ziemieńska. Siedzący obok niej mąż ciągnie ją za rękaw. Ale z postawy kobiety widać, że nie da się łatwo uspokoić. Wie swoje, a bać się nie ma czego. To nie ona nawarzyła tego piwa — powie po zebraniu.

— My jesteśmy ludzie prości — stwierdza — ale nie aż tak głupi, jak by się mogło komuś wydawać. Nie czarujmy się. Redaktor sam nie wymyślił, pan nic takiego nie mówił, to skąd się te „kwiatki” w gazecie znalazły? Krasnoludki przyniosły?

— Można było napisać — dodaje — że wieś jest aktywna społecznie w tym dwóch członków partii. Wtedy

wiada Jan Ozimek, co i jak było. Z redaktorem rozmawiał telefonicznie. Mówił, że nie tylko i nie przede wszystkim partia jest inicjatorką wszystkich osiągnięć społecznych w Matczynie-Wojcieszynie. Mają przecież soltysa, który przez trzydzieści już z górą lat niemało nachodził się koło ich spraw. Są i inni. Też wymienił. Powiedział również i o tym, że Dziadura z Bednarczykiem nigdy się przy robotcie nie spocili.

— Chciałem jak najlepiej — dodaje na końcu — a w artykule wyszło inaczej. Wygląda na to, że i ja jestem temu winny, bo należę do partii.

— Do ciebie Ozimek nikt nie ma pretensji — uspokaja go syn soltysa. — Natyrales się tak samo jak inni. Byłeś przewodniczącym komitetu budowy remizy i nie musisz teraz niczego się wstydić. Ale to byleś ty, Ozimek, a nie cała partia.

Wieczorkiewiczowi też nie było do śmiechu.

— Przyjąłem pana Kasprzaka jak gościa — tłumaczy zdenerwowany. — Liczyłem na to, że artykuł nam pomoże, a nie załamię. Mówiłem o zaangażowaniu w pracę społeczną całej wsi, bo dobrze wiemy, że działalność partii jest tu niewiele, chociaż sam jestem jej członkiem. Wymieniłem chyba ze trzydzieści nazwisk i co? Sami słyszeliście. Teraz widzę, że jeden głupi artykuł zrobił więcej złego niż dobrego. Po przeczytaniu czułem się po prostu oszukany.

— Pogonić jak na drugi raz przyjedzie — krzyczą ludzie.

Jęczeń podsumował całą dyskusję krótko.

— Co będziemy gadać — stwierdził. — My są swoje chlapy i szyldów nam nie potrzeba. Robotę zawsze się zrobi. A jak już mówimy o tej partii, to kiedyś jeden członek powiedział mi tak: „Cymbały! Wy wybudujecie remizę? Tu mi włody wyrosną”. Remiza stoi, a ręki mu nie oglądałem. I nie ma co krzyczeć, że nam się partia nie podoba. Czaszy stalinowskie już minęły. Nam się ludzie nie podobają, a Ozimek i Wieczorkiewicz to swoje chlapy. Ja nie należę do partii i w ZSL też nie chcę być.

Chłopi żądają, aby redaktor Kasprzak napisał sprostowanie i opublikował w „Sztandarze Ludu”. Należy im się — twierdzą. A jak nie, to partia sama dalej będzie we wsi wszystko robiła.

Czesław Wieczorkiewicz mityguje zebranych. Tłumaczy, że nikomu na złość tym sposobem nie zrobią, tylko sobie. Pierwszy sekretarz Janik obiecuje, że osobiście napisze wyjaśnienie do gazety i podpisze własnym nazwiskiem. Zebranie się kończy. Zbliża się godzina jedenasta. Sala powoli pustoszeje. Jeszcze tylko Wieczorkiewicz umawia się z ludźmi do roboty przy wodociągu.

KULTURA JĘCZMIENNA

FIZYK W GANDAWIE

Tomasz Goworek

WIECZOREM Gaston napomknął: „Może by tak wyskoczyć napić się czegoś?”. Może by. Byłoby to coś w rodzaju oblewania tytułu, właśnie świeżo dostał nominację profesorską.

W Gandawie piwiarni jest chyba więcej niż mieszkańców. Nawet na tak zakazanej uliczce jak nasz Stalhof, w każdej chałupce po jednej. Najbliższą rudę ozdobi wielka figura w todze, birecie i okularach, z kuflem w ręku — „De Professor”. Pasowałoby, ale my udajemy się do centrum. Jest u nas taka piwiarnia w Gandawie... nad kanałem, gdzie w karcie cztery bite stroiny gatunków piwa, jakie lokal ma na składzie.

Ktoś kiedyś powiedział, że Europa dzieli się na dwa obszary: kultury winnej i kartoflanej. Jest chyba jeszcze kultura jęczmienna. Kultura winna dała nam przede wszystkim wspaniałą sztukę, fantazję i odrobinę bałaganiarstwa; kultura jęczmienna — solidność, perfekcję, ale też i sztukę wcale nie gorszą. Pierwsza nauczyła nas dostrzegać urok przemijającej chwili, druga — widzieć potrzebę spojrzenia daleko w przód. Rysunek, jaki kiedyś widziałem na obszarze kultury jęczmiennej: hamak przytwierdzony jednym końcem do drzewa, drugi koniec trzyma człowiek, z konewką, podlewa wąż roślinki, ona wyrośnie na drzewo. U nas byłoby to dowcip bez podpisu, tam jest to absolutnie serio. Lubię kulturę winną, podziwiam jęczmienną; jedno jest pewne, że świat pchają naprzód kultury „niskoprocentowe”. Nie kartoflano-żytnia, ale i nie kultury programowo abstynenckie.

Miejscowy rodzaj piwa (rodzaj, nie marka) to „gueuse”, powstający przez samorzutną fermentację, bez dodawania

drożdży. Odfiltrowany słód z jęczmienia i pszenicy miesza się z brzecką chmielową, trzyletnią. Zbiorniki są otwarte, kontakt z powietrzem (specjalne otwory w dachu) zapewnia dostęp mikroorganizmów charakterystycznych dla danego regionu. Po zabezkowaniu fermentacja trwa dalej. Po kilku dniach powstaje „lambic”, który już można pić, ale zwykle poddaje się go leżakowaniu, do trzech lat. Mieszanka „lambiców” o różnym czasie leżakowania daje właśnie „gueuse”.

Gdyby u nas piwo chłonoło to, co lata w powietrzu, mielibyśmy nie „gueuse”, a piwo „Siarczyste” albo „Tlenkowo-azotowe”, Okocim i Brzesko produkowałyby „Hutniczo-Leninowskie”. Tu są browary działające nieprzerwanie od 600 lat, a słynne lubelskie piwo „marzec”, najstarszą w Polsce markę, można spotkać już tylko w literaturze, i to nie najświeższe.

GASTON jest synem rybaka z nad Morza Śródziemnego, gaduła, bazarzem. Nigdy nie jestem pewny, kiedy mówi prawdę, a kiedy zmyśla. Opowiada, jak ojciec wyciągał nie raz w sieci amfory z winem z czasów rzymskich. Czasem szczerze i twierdzi, że wino dawało się pić. „Marne, bo marne, ale jak nie zawierało więcej niż 10 procent wody morskiej, to jeszcze dawało się przelknąć”. Wiem, że jest niezłym organistą. Rozprawia z zapalem o filozofii; zanim wyszliśmy z piwiarni o 3 w nocy, wysłuchałem wielkiego wykładu o egzystencjalizmie: Sartre, Heidegger.

— Gaston, interesujesz się jakoś głębiej filozofią?

— Tak. Mam nawet swoją stałą audycję w radio, raz na tydzień, w której przedstawiam sylwetki twórców różnych kierunków filozoficznych.



Przedemną rzeką, nabrzeże Graslei, stare kamieniczki...

Fot. Autor

NOTATNIK ANGIELSKI (3)

Andrzej W. Pawluczuk

DOM Marków nie jest duży. Każdy, kto buduje się w Polsce, chce mieć więcej przestrzeni. Tutaj utarł się w miastach zwyczaj mieszkania w standardowych szeregowcach i ktoś, kto nie jest bardzo bogaty, nie obnosi się ze swoim poziomem życia. A w kraju, gdzie wszystko kupuje się na kredyt, byłoby to łatwe i możliwe.

Ale w Eltham, gdzie mieszka tzw. klasa średnia uważa się, że i standard życia powinien być właśnie średni. Mówi o tym wygład tutejszych sklepów i ulic, co dla przybysza z Europy socjalistycznej jest zaskoczeniem. Na przykład: samochody. Odnosiłem wrażenie, że w tej dzielnicy urzędniczo-nauczycielskiej Mercedes jest o wiele rzadszym zjawiskiem niż w Lublinie, a przecież nie jest to chyba sprawa pieniędzy, bo tutaj — średnio — każdy ma ich nieporównanie więcej. Więc co?

Otóż jeżeli ktoś żyje ponad przeciętny poziom swojej klasy nie jest to dobrze widziane. Taki człowiek ma opinię filuta i rozrzutnika, a zatem sądzi się, że nie można na nim polegać i brać go poważnie. Jest to opinia, z którą w społeczeństwie tzw. kapitalistycznym należy się liczyć, ponieważ wbrew socjalistycznym definicjom bardzo dużo we wzajemnych stosunkach zależy tam od wzajemnego zaufania, a słowo honoru dżentelmena jest w Anglii więcej warte niż zaświadczenie z pieczęcią. Ale by to słowo miało znaczenie, musi być na każdym kroku potwierdzane codziennym życiem.

Z faktu, że w Eltham nie zaobserwowałem luksusów wynika także, że Anglia wciąż pozostaje krajem konserwatywnym, gdzie przywiązuje się znaczenie do tradycyjnej stratyfikacji społecznej i gdzie od każdej klasy i grupy zawodowej oczekuje się właściwego sposobu zachowania. Skutkuje to, en bloc, bardzo pozytywnymi rze-

czami w sferze makrosocjalnej. Z jednej bowiem strony przeciwdziała nadmiernej konsumpcji, a więc rozrzutności i marnowaniu pieniędzy, natomiast z drugiej utrzuca pewne przejrzyste i normatywne wzorce osobowe i standardy materialne.

Toteż każdy, kto np. awansuje z klasy niższej do wyższej i przeprowadzi się do odpowiedniej dzielnicy, musi dostosować się do obowiązującego tutaj zwyczaju. Jego dom i ogródek nie mogą odbiegać w dół od tych, jakie mają sąsiedzi. Jego dzieci muszą być podobnie ubrane i — jeżeli ich nie posiadają — muszą nabrać odpowiednich manier, bo inaczej będą źle się czuły w szkole.

Brytyjska struktura społeczna jest więc bardzo sztywna, ale właśnie dzięki temu ludzie czują się bezpieczni w swoim miejscu zamieszkania. Są bowiem wśród swoich, wśród ludzi sobie podobnych, którzy wyznają podobne wartości, mają podobne upodobania i są zwolennikami tego samego modelu życia. Półczłonowe dzielnice skupiają zatem ludzi o takich samych zapatrywaniach, co zapewnia wyrazisty, przejrzysty ład społeczny i porządek przestrzeni. Toteż wybierając mieszkanie w Eltham wybiera się nie tylko adres, jak w Polsce, ale przede wszystkim określony model życia. Wybiera się spokój i czystość na ulicach, dobry poziom miejscowej szkoły, kulturalnych sąsiadów i pewność, że miejscowy park nie zostanie przepełniony zszoną szybką ruchem, ponieważ wszyscy mieszkańcy w równym stopniu cenią zieleni i oiszę. Wybiera się pewność, że nikt nie wybuduje pod oknami fabryki czy innej wywórnicy smrodu i hałasu, ponieważ dzielnicowa rada miejska składa się z naszych sąsiadów, a ci dbają o nasz interes chociażby dlatego, aby mieć pewność, że i my — gdy zostaniemy radnymi — będziemy pamiętać o nich.

Jest to system życia naturalny, po-

nieważ odpowiada naturalnej potrzebie człowieka, aby istnieć w grupie ludzi podobnych i bliskich. Socjopsychologia opisała to językiem uczonych terminów, ale mnie — kiedy to obserwowalem — przychodziło na myśl przede wszystkim to, że te wszystkie lepsze i gorsze dzielnice powstawały same i że nikt niczego z góry nie ustalał. A więc życie organizuje się najlepiej wtedy, kiedy puszczony jest na żywioł. Obrońcy socjalistycznych „zdobyczy” lubią szermować w takich wypadkach hasłem „gotta” i straszyć „masy pracujące”, że dyktatura pieniądza skazuje ich na bytowanie w slumsach. Było to prawdziwe kiedyś, w epoce kapitalizmu drapieżnego i nie-ludzkiego. Dzisiaj — bardziej nieludzkie i drapieżne są stosunki społeczne i ekonomiczne u nas, ponieważ to nasz system, a nie ich, doprowadził do całkowitej deprecjacji wartości związanych z dobrą, solidną pracą. A tylko rozumna praca prowadzi do powstania i kumulowania się bogactwa. Nic więcej. Nic, żadna ideologia nie zastąpi dobrze zorganizowanej, sensownej, rozumnej pracy.

Kiedy następnego dnia spacerowałem po Londynie, zrozumiałem, jak to jest możliwe, że ten system jest tak elastyczny i że każdy znajduje bez trudu swoje miejsce. Otóż w każdej prawie dzielnicy ceny domów są inne, ale domów na sprzedaż jest istniejąca zapas. Dużo jest agencji, które handlują nieruchomościami, a w każdej dwa, trzy duże okna wystawowe zapełnione są fotografiami i metryczkami domów wystawionych na sprzedaż. A to oznacza, że ruch jest duży, że sporo ludzi przeprowadza się z miejsca na miejsce, dostosowując swoje w tym względzie potrzeby i oczekiwania do odpowiedniego standardu.

Ale chociaż ceny domów są zróżnicowane, to są one także na swój sposób stałe. Otóż wynoszą one — mniej więcej — tyle, co 8—12-krotna wartość

rocznych zarobków, jakie osiągają mieszkańcy danej dzielnicy. W Eltham jest to suma w granicach od osiemdziesięciu do stu dwudziestu tysięcy funtów. Jest to bardzo dużo, i gdyby przyszło takie pieniądze wyłożyć jednorazowo z kieszeni, nikt by tu pewnie nie mieszkał. Jednak przy nieograniczonych (prawie) możliwościach otrzymania kredytu taka suma znajduje się w zasięgu przeciętnie zarabiającego inteligenta, a także świeżo absolwenta uniwersytetu, który zaczyna swoją pierwszą pracę w życiu.

Porównując to do zarobków w Polsce trzeba było policzyć następująco: średni zarobek inteligenta po studiach (nauczyciel, lekarz, adiunkt na uniwersytecie) wynosi około osiemdziesięciu tysięcy miesięcznie, rocznie — około jednego miliona, co pomnożone przez dziesięć, daje dziesięć milionów złotych. Tymczasem wolnorynkowe ceny domów, mieszkań i placów budowlanych w Polsce zbliżają się do cen tamtejszych — w dolarach! — chociaż zarabiamy w złotych i to dwadzieścia razy mniej. Opanowanie budownictwa mieszkaniowego przez państwo doprowadziło więc do tego, że mamy dzisiaj najdroższe mieszkania w Europie i największy w Europie głód mieszkaniowy.

Propagandziści, którzy strzegą na łamach prasy i telewizji czystości ustrojowej w PRL i naszych „zdobyczy socjalistycznych” rzucają się pewnie na mnie za to, że śmiem porównywać bogatą Anglię z biedną Polską. Anglię, która przez stulecia wyzyskiwała liczne kolonie i Polskę, która sama była wyzyskiwana jak kolonia. To wszystko prawda, ale i nikt mnie nie przekona, że mając w kraju pod dostatkiem gliny, rąk do pracy i zdolnych ludzi, nie możemy mieć pod dostatkiem domów, a do tych domów — glazury, terakoty, ceramicznych sedesów i umywalk. Mówię tylko o tym, co można wykonać za pomocą kilofa i łopaty. Ale mówię także o pewnym modelu cywilizacyjnym, bo przede wszystkim na to zwracałem uwagę podczas tego krótkiego pobytu na Wyspach Brytyjskich.

A więc — sposób mieszkania i życia, standard, czystość, porządek, to

Gaston ma szerokie zainteresowania, jest humanistą w dawnym dobrym stylu. Przywykłem do tego, że moi koledzy po fachu są jednokierunkowi (a jeśli już brali się za coś innego, to nie dochodzili do niczego w fizyce). Są znakomitymi naukowymi rzemieślnikami, mają swoją wąską dziedzinę, którą potrafią uprawiać z perfekcją. Że nie wychodzimy poza tę dziedzinę, to przypisywaliśmy naszym czasom, konieczności specjalizacji, jaką wymusza dzisiejsza nauka i konkurencja. Konkurencja ogromnej liczby zespołów naukowych zmusza do poświęceń każdej chwili rzemiosłu, aby utrzymać się na wierzchu. Są wyjątki: Grzegorz Magnificus Białkowski — poeta, Januszajtis — historyk i kierownik zespołu kamerального.

Uważałem wąską specjalizację za zjawisko ogólnowiatowe, tymczasem jest to raczej nasza specyfika. Profesor Enzo pisze systematycznie do gazety komentarze na tematy gospodarcze, ma stałą rubrykę i po przejściu na emeryturę zamierza oddać się całkowicie publicystyce. Duchateau jest także mykologiem, prowadzi wykłady o grzybach, jest prezesem lokalnego towarzystwa mykologicznego. Główny organizator konferencji, Huyskens, jest wybitnym fotografikiem. Nie wymienię malarzy niedzielnych (np. Karlsson), a tym bardziej kolekcjonerów.

Dlaczego tak jest? Oni mają czas. Nie są tak zabiegani jak my. Ale nie wpadamy w kompleksy. Bo to przecież my posiadaliśmy umiejętności w znacznie większej liczbie dyscyplin. Prawie każdy z nas umie malować mieszkania, układać boazerie, naprawiać samochód i sprzęt domowy. Wielu posiadało umiejętności w zakresie polskiej archeologii współczesnej: wydobywaniu spod ziemi dóbr, których nie ma na rynku, czy choćby umiejętność skutecznego usmiechnięcia się do panienki, aby sprzedała poza kolejką salceson, który się właśnie kończy. Cwiczenie w tych dyscyplinach i ich uprawianie nie zostawia nam czasu na Heideggera.

— Tom, musisz spróbować piwa „kriek”, nigdzie indziej takiego nie ma.

Dawajcie. Z butelki o szyjce oklejonej złotą folią wlewają mi do szklan-

ki spienioną ciemną ciecz o odcieniu czerwonym. To „lambic”, do którego wyciśnięto sok z wiśni. Nie jest to nasze piwo z sokiem, ale napój zupełnie specyficzny. „Tom, spróbuj »Duvela«, dla porównania spróbuj »pils«...”. Zabawne, gdybym ja powiedział: „Gaston, spróbuj piwa »Warka«, to by nie znaczyło nic. Każda dostawa ma zupełnie inny smak.”

CHYBA nie mógłbym być emigranten zarobkowym w polskim stylu. Nie mógłbym chodzić po mieście, unikając wszelkich wydatków, przeliczając wszystko na astronomiczne liczby złotych. Taki kontakt z miastem to jak oglądanie filmu, albumu: widzisz miasto, ale go nie dotykasz. „Stary, szklanka piwa to 1000 złotych!”

I co z tego? Zresztą, do licha, czy w kraju nie płacimy po 500 za trunek byle jakiej marki? Trzeba być w mieście, a nie obok miasta. Co to znaczy nie wypić kawy, nie przegadać wieczoru w piwiarni, aż zamkną ją nad ranem. Jestem w kraju tysiącletniego piwa, to trzeba się przy stoliku przed domem Egmonta, zamówić szklaneczkę „gueuse” i w cieniu mostu św. Michała pogapić się na to wszystko wokół, na Koreneli, na rzekę, w której już nie pływają syreny. To zaledwie czterysta lat, jak hrabia Egmonta wzięto z tego domu pod straż i tymi uliczkami, poza mną, poprowadzono do zamku, aby potem ściąć w Brukseli.

Przedemną rzeką, nabrzeże Graslei, stare kamieniczki, rozłożyste „Spijker” — szerniały ze starości dwunastowieczny spichlerz, w którym każdy przepływający rzeką statek musiał zostawić czwartą część zboża; wcinęty między spichlerz a gildię mierniczych ziarna, domek komory celnej, szeroki chyba na jedno okno. Dziś mieści on barek; gdy na pięterku zasiądzie ktoś przy stoliku, wypełnia całą szerokość domu. Domek zamyka uliczkę, którą przenoszono dobra na Targ Zbożowy mieszczący się z tyłu, za Graslei. Przywiezionego zboża nie można było sprzedać od razu, musiało nieco przeleżeć w magazynie, w latach głodu nie wolno było go sprzedawać za granicę, a pierwszeństwo zakupu mieli piekarze i piwowarzy. Chleba i piwa naszego powszedniego.

— Jeszcze jedno „gueuse” proszę.

PRZEDE mną wymarły od wieków port i trzy wieże gandawskie: św. Mikołaja, Belfort, katedra. Potężny kościół św. Mikołaja stoi przy Targu Zbożowym; wystawili go kupcy i szyprowie, aby był pod ręką, aby móc służyć Panu nie oddalając się od interesu. Tak położony kościół rósł w bogactwo, a podupadła Katedra, położona dalej i wyżej. Dominikanie, którzy zawiadywali katedrą, nieradzi ze stanu rzeczy, słusznie zauważyli, że port na rzece ma dwa nabrzeża, zbudowali zatem po drugiej stronie, obok Koreneli, własny kościół, filię, pod wezwaniem św. Michała. Rozmiarami dorównywał św. Mikołajowi, ale wieży nigdy nie zbudowano, jest tylko jej podstawa.

W końcu ubiegłego wieku, gdy rozwijający się handel i przemysł znów przywrócił miastu bogactwo, zabytki zaczęto nieco poprawiać, dodawać im okazałości. Przylegające do Belfortu sukienice wydały się ojcom miasta za skromne, przedłużono je więc — stare mieścili wzdłuż dachu siedem facjatek, po przebudowie — jedenastcie. Żeby przedłużyć budynek, zburzono wieżyczkę na jego końcu, za to po przedłużeniu dorobiono taką samą, nową. Przez miasto jakby Zin przeleciał. Wieżę katedry podwyższono, dorobiono bogato zdobione portale, figury, zrekonstruowano niektóre kamieniczki według starych szkiców. Wyrosło sporo budowli neogotyckich.

Fasada „Spijker” obwieszona jest skrzynkami pelargonii, odwracających uwagę od smutnych rzędów zaryglowanych drzwi. Można wejść do środka, na parter, mieści się tam galeria sztuki — drewniane stropy, podparte potężnymi drewnianymi filarami, wyświechtanymi do polysku przez lata. To było wszystko drewniane. Te piękne kamieniczki na Graslei też, bogate murowane fasady dorobiono im potem.

Zaskoczyło mnie to, zawsze wyobrażałem sobie, że miasta Zachodu były od początku murowane, na południu z kamienia, na północy z cegły czy pruskiego muru. Tymczasem XIII-wieczna Gandawa była w znacznym stopniu drewniana. Owszem, były domy murowane, miasto szczyliło się, że ma sto takich domów, ale jak na 60-tysięczną

metropolią, jedną z największych w ówczesnej Europie, nie było to zbyt wiele.

Domy kamienne budowano dla bezpieczeństwa, nie tyle z powodu pożarów, ile nieustannych zamieszek, „tumultów”. Bogate mieszczaństwo buntowało się przeciw hrabiemu, który pewnie nie był bogatszy niż co niektórzy patrycjusze; buntowała się biedota przeciw patrycjatowi. Wystarczył byle powód do wzniecenia zamieszek, słynny incydent zderzenia się dwóch pocudów: orszaku księcia Karola Smiałego i pielgrzymów wracających z relikwiami z jarmarku.

Murowanych domów przybywało, budulec stanowił kamień, nie cegła. Słowo „steen” (kamień) przybrało znaczenie zamku: Gravensteen, Duijvelsteen, Ryhovesteen. Łatwo rozróżnić najstarsze domy od nowszych, niekoniecznie po stylu, a po technologii. W tych najbardziej wiekowych mur układano z lupanych brył wapienia, nowsze wznoszone już były z ociosanych bloków. Ten prymitywny mur widać na zamku czy też na „De Kleine Sikkell”. Kurz opadający przez 600 lat szczylił fasady; obok van der Sikkellów dwie kamieniczki Moorów noszą nazwy „biała” i „czarna” — obie są czarne.

Na równinie wokół miasta nie było kamieniołomów, wapien trzeba było transportować z daleka, wodą. Pracowitość tamtych ludzi była niewiarygodna. Podejmowano ogromne prace, często ze świadomością, że rezultatu nie zdąży się zobaczyć.

Miasto leży na śródlądziu, a przy ujściu rzeki, nad którą jest położone, znajduje się Antwerpia, ona przechwytywała handel. Ominąć Antwerpię! Wybudowano kanał, mila za milą, łopata i nosilkami. Nie marnowano niczego, nawet wykopaną ziemię sprzedawano. Kanał nie mógł być zbyt szeroki i głęboki, pomieścił lichtugi o pojemności półtorej tony, ale to wystarczało.

Los uwziął się jednak na Gandawę; nim minął wiek XIII, prąd morski zamulił wylot kanału.

(Koniec odcinka 3. — cdn.)

jest to, co można mieć na wyższym niż mamy poziomie i za mniejsze niż wydajemy pieniądze. Talcie nasi architekci dawno temu obliczyli, że budownictwo, wysokie nie daje żadnej oszczędności terenu. Natomiast wymaga podczas budowy dużej ilości ciężkiego sprzętu, a więc do wybudowania jednego mieszkania w bloku z płyty potrzebujemy więcej dźwigów i ciężarów, niż do wybudowania takiego samego mieszkania w jednopiętrowym domu. Do konserwacji i utrzymania wielkoblukowych osiedli potrzebne są liczne służby urzędniczo-robotnicze. O należyty stan swojego domu dba dobrze jego właściciel i to na ogół wystarcza, aby prezentował się lepiej niż blok. Dba on także o zieleń i czystość wokół swojego domu, pilnuje, aby nie było strat ciepła i wody. To jest oczywiste i wie o tym każdy, kto ma w głowie trochę rozsądku i potrafi liczyć. A jednak? Niedługo obchodzić będziemy w kraju dwudziestą rocznicę wprowadzenia, przy wiwatach fanfar, wielkiej płyty i jej końca jakos nie widać, chociaż jest ona technologicznym i ekonomicznym nonsensem.

Nie potrzeba być bogatym krajem, aby dobrze mieszkać. Trzeba być za to jednak krajem, gdzie rządzi się rozumnie i gdzie nie wyrzuca się pieniędzy w błoto. Ale by pieniądze nie wyrzucały w błoto, musi istnieć taki system, gdzie o swoich własnych pieniądżach każdy decyduje wedle swojego uznania i gdzie żadna władza nie wie lepiej od obywatela, co mu jest potrzebne. Dopiero przy takim podejściu widać, jak wiele się u nas marnuje i jak bezrozumny jest system pracy, o którym do dzisiaj uczy się dzieci w szkołach, że jest najlepszy na świecie. Nie uczucie zazdrości, że mają tutaj lepiej, towarzyszyło mi więc na londyńskim bruku. Każdy krok uświadamiał mi natomiast coraz to nowy nonsens socjalistycznego systemu, systemu, który z samej swojej istoty nie pozwala nam ścigać się z Zachodem.

4 maja, około północy. A teraz, kiedy się nieco odświeżył i zmienił koszulę, pora na dobrą herbatę, szklaneczkę whisky i pogawędkę z

gospodarzami. Chociaż jestem porządnie zmęczony, nie wypada iść spać gdyż Marek ciekaw jest najnowszych wieści z Polski.

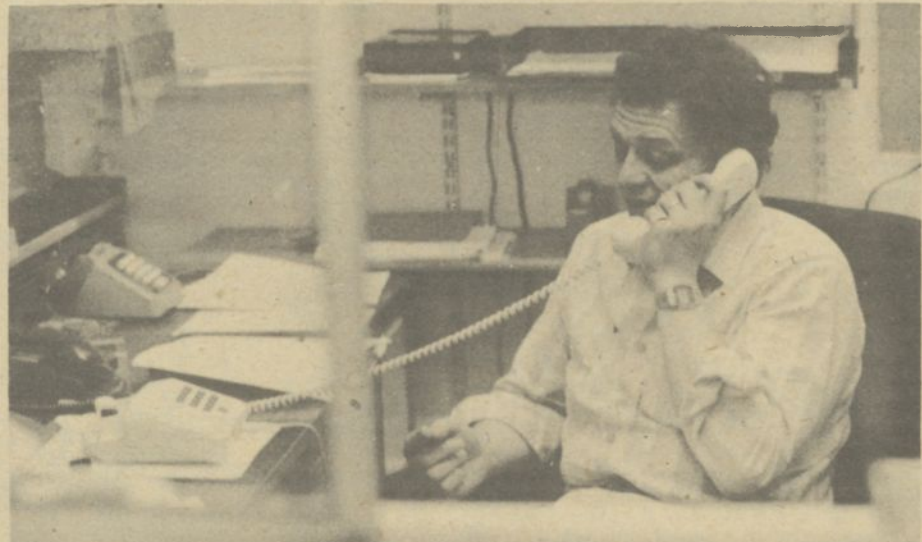
Przywiozłem pierwszy numer lubelskiego „Biuletynu Solidarności” (wyszedł przedwczoraj) i kilka ostatnich numerów naszych „Relacji”. Ale Marek i Patrycja domagają się ode mnie sprawozdania na żywo.

A więc: jaka jest atmosfera, co mówią ludzie po „okrągłym stole” i ponownej rejestracji NSZZ „Solidarność”? I rzecz podstawowa: czy władza nie utrudnia działania Komitetów Obywatelskich i przygotowań do wyborów?

Przypatruję się, że moje opowiadanie jest nieco podkolorowane, gdyż

nie odczuć z Francji i Berlina Zachodniego, gdzie nie raz dano mi odczuć, że jako Polak jestem cudzoziemcem gorzej widzianym niż Brytyjczyk, Amerykanin czy Włoch.

Marek odpowiada, że w Anglii Polacy cieszą się sympatią i szacunkiem, że wśród starszego pokolenia żywa jest pamięć ostatniej wojny i polsko-brytyjskiego braterstwa broni. Wśród tych, co zostali tutaj po wojnie, dużo było zwykłych żołnierzy, ale że byli to ludzie wychowani przez twarde warunki życia i przez kraj, gdzie również istniała drabina społeczna, dość szybko znajdowali tu swoje miejsce. Wielu dorobiło się i szybko awansowało do klasy średniej.



Marek Cajzner, wicedyrektor polskiej sekcji BBC.

Fot. Andrzej W. Pawluczuk

jakby podświadomie chce, aby żona Marka, rodowita Angielka, miała mój kraj za europejski. Ale jej pytania uświadamiają mi rychło, że ona Polskę dobrze nie tylko z widzenia, że także ma dobre, wystarczające pojęcie o naszym systemie gospodarczym i politycznym.

A potem wypytuję ją, zaczynając od generalistów, pamiętając swoje niedaw-

skie paszporty i uważają się za poddanych królowej. Dlatego do Wielkiej Brytanii nie przyjeżdżali ludzie, powiędzmy, przypadkowi i tacy, co liczą tylko na łatwy chleb. Toteż nie było żadnych powodów, aby Polacy wywoływali niechęć jako Polacy. Zaś fakt, że Polska, dzięki „Solidarności”, posiadała wizerunek kraju niekorzonego, w którym walczy się o wolność, dodawał naszym emigrantom sympatii. Polek posiada dla przeciętnego Brytyjczyka wyrazistą osobowość, a stereotyp Polaka ma tutaj więcej cech dodatnich niż negatywnych.

— W każdym razie — kończy Marek — Polak jest tutaj wyraźnie identyfikowany, w odróżnieniu od pozostałych mieszkańców europejskiego Wschodu.

Jego szybkość (wreż błyskawiczny) awans zawodowy i społeczny zdaje się tę opinię potwierdzać. Jak w każdym społeczeństwie otwartym, gdzie funkcjonuje przejrzysta hierarchia wartości i gdzie sukces materialny osiąga się tylko dzięki własnej pracy, nie ma tu miejsca na hochsztaplerstwo, na udawanie, że jest się lepszym niż w rzeczywistości. Albo coś umiesz, albo nie. Tutaj masz okazję się sprawdzić i swoją prawdziwą wartość momentalnie wychodzi na jaw.

Aby otrzymać pracę w BBC, Marek stanął do konkursu, gdzie sprawdzano jego praktyczne umiejętności. Nikt nie sprawdzał, co ma w głowie, a już na pewno nikomu nie przyszłoby na myśl badać jego koneksje, układy i powiązania. Jeżeli się nie nadajesz — musisz odejść, bez względu na to, kto za tobą stoi i czy jesteś akurat członkiem rządzącej partii, lub czy należysz do popieranego przez władzę zrzeszenia.

I gdziekolwiek w Anglii zawędrowałem, musiałem stwierdzić, że praca i życie opiera się tam na najprostszycy oczywistościach, na najnormalniejszym zdrowym rozsądku, na tym, co naturalne i co wynika z ludzkiej natury. Dlatego życie jest tam łatwe i człowiek nie ma powodów, aby się co rusz denerwować.

(cdn.)

Z BIEGIEM BUGU

Dokończenie ze str. 1

ale i roboty od świtu do nocy. Narzekają na urzędasów — nie muszą wiele mówić, oboje po trzydziestce, a wyglądają na podchodzących pod pięćdziesiątkę. Chyba piekło łatwiej strawić niż życie.



W drodze
Fot. Marek Terlecki

Wyobrażalem sobie Dubienkę tak: obszerny, czysty rynek wybrukowany granitową kostką, przy nim kościół, cerkiew, małomiasteczkowa, ale schludna zabudowa przy rynku przechodzi stopniowo w chałupy stojące z rzadka jak na wsi. Na zachód od okolonego wieńcem sadów miasteczka — płaski, zielony majdan z wyrastającym kopcem na pamiątkę zwycięstwa Kościuszki w 1792 r. nad Rosjanami.

Mieścina okazuje się niechlujna: rynek poprzeczany przez ciekami, przy których domy stawiane byle jak, wrażenie chaosu, tymczasowości, niezbyt czyste. Ani kościół z 1863 roku, ani wyposażenie pochodzące z klasztoru w Radecznicy nie robią wrażenia. Honor ratuje ładna szyfletka cerkwi jak na ironię idąca w ruinę — dach latany w pośpiechu jątrzy niebo. Zastanawiające, dlaczego w przewodniku po Lubelszczyźnie poczwórnego autorstwa (W. Gawarecki, J. Marszałek, T. Szczepanik i W. Wójcikowski), wydanego przez „Sport i Turystykę” w 1979 roku, ani słowa o cenniejszym i ciekawszym kościele w Wojsławicach, natomiast o tym z Duńienki rzeczonych słów aż 17? Odjeżdżamy na północ szukać kopca, który — jak się okazuje — usypano w sąsiedniej wsi, parę kilometrów dalej. Za kościołem żegna nas w ogródku jednorodzinne bunkra szczerzące zęby gipsowe dziwo.

— Wdziałeś lwa? — wołam. Terlecki zawraca.

— Jest śliczny! — zachłystuje się wyciągając aparat fotograficzny. Pstryka i śmieje się coraz radośniej. — Popatrz na szcękę. Po każdej stronie cztery ludzkie jedyńki.

Podchodzi starsza kobietcina:

— Pan się śmieje...

— Lew mi się podoba — tłumaczy Marek. — Nigdy nie widziałem, żeby tak posuwał węża. A wąż rozkosznie szczerzy zęby: jeszcze, jeszcze!

Kopiec Kościuszki opracowany ideologicznie trzema planszami. Patrzymy z góry na kawałek równiny, na której starły się przed dwustu laty wojska. Nic nie zatrzymuje wzroku, ot, zmielone łaki.

Między Mościskami a Dorohuskim. oparł o kopiec siana popatrujemy z grobli na staw. Wiatr szaleje w nerwowych wierzbach, odwracane podmuchami liście tonół błyszczą. Podziwiamy drzewa jak kilkunastoletni chłopcy, rozmawiając o synach. Z papierów wycią-

gam reklamówkę Mariana Kołtuna z Radzyna Podl., emeryta, cyklisty, który zaczął jeździć po sześćdziesiątce i zdążył zaliczyć dwa razy Włochy, trzykrotnie był w Wiedniu, w Paryżu na swojej konstrukcji rykszy. Marek kombinuje na gorąco:

— Jakby zrobić rykszę dwuosobową i wyruszyć dalej w świat?

Planuję bliżej:

— W przyszłym roku szlak warowni jurajskich, za dwa lata piastowski w Poznańskim, a za trzy — może Giewont na specjalnej konstrukcji rowach?

W Dorohusku zatrzymuje nas na chwilę okazały dwór Suchodolskich z połowy XVIII wieku, położony na wysokiej skarpie. Odarty, wypatroszony do cna, właśnie odnawiany. Z wyposażenia nie ocalało nic, robotnicy pieczolowicie odtwarzają na piętze grymsy, których ślady widnieją w kątach. Ubóstwo intelektualne powojennych urzędasów ma niebagatelny udział w zbiednieniu kraju. Zawsze interesował mnie fenomen szybkiej śmierci cywilizacji prekolumbijskich w Ameryce Południowej i Środkowej. Cywilizacje umierają łatwo; wystarczy, by jedno pokolenie zdeprecjonowało wiedzę i wszystko jedno jaki znajdzie pretekst: wojnę, nową ideologię.

Okopy Nowe. Mijamy ze dwadzieścia cementowozów z rosyjskimi rejestracjami. Od Chelma do granicy tylko dwadzieścia kilometrów (...).

Na temat Swierżego milczą wszystkie przewodniki i mapy jakie mamy, ale jest brama wjazdowa tuż przy jezdni, wyraźne ślady założenia parkowego. Skracamy w grabową aleję prowadzącą do samego Bugu, kręcimy się to tu, to tam — ani śladu dworu czy pałacu. Napotkany chłop prowadzi.

— Tu stał. Wyszadzi go Niemcy uciekając. Miał tyle okien, ile dni w roku, komnat tyle, ile tygodni. Był piękny, ogromny...

Na rowach po wybranej do fundamentów cegle rośnie młodziak otoczony wiekowymi olchami. Oglądamy położoną tuż nad starym bużyskiem półkolistą altanę z kasztanów i — obok niej — tulipanowiec kwitnący żółtymi tulipanami.

Zapraszamy się na obiad. Dylemat: „do pałacu”, czy nad rzekę rozwiązuje ostry zacug idący od podworskich budynków gospodarczych — jak się okazało z chlewni. Zasiadamy nad starorzeczem obok tulipanowca: nieśmiertelna konserwa, żółty ser i dżem. Ku zdziwieniu współplegryzma wspomagam się jeszcze domowym smalcem. Jedzą komary. Marek wielce zdziwiony łapie za nogi rudasa (rudy komar! pierwszy raz w życiu!). Zastanawiamy się, jak z robactwem radziły sobie hrabiny. Przecież w altanie nie rozlegało się nieustannie wytworne plaskanie po pyskach.

— Gdyby tak pozbiereg robactwo z całego świata i poukladać! Powstałyby nowe Himalaje! — głośno marzy Terlecki.

W Uhrusku (ach te nazwy nad Bugiem!) zatrzymujemy się przy niewielkiej, chyba XIX-wiecznej świątynce — ni to cerkiew, ni kościół. Wieś przeciętna, żadnych śladów świetności. W XIII wieku Uhrusk był stolicą prawosławnego biskupstwa, do Chelma przeniósł je dopiero w 1242 roku Daniel Romanowicz, późniejszy król Rusi, dziś byśmy powiedzieli — Ukrainy.

Zaczyna siąpić. Krajobraz beznadziejnie monotony. Owijam się w foliowy płaszcz. Z przeciwka nadjeżdża milicyjny fiat, zwalnia, popatrują na nas dwie zadowolone twarze. I nic. Po pół godzinie widzę w lusterku światła i granatowy pas na jasnej karoserii, wyprzedzają nas i elegancko zatrzymują.

— Czym zasłużyliśmy na ten zaszczyt? — pyta Marek.

— Nie wiecie, że wszystko, co na drodze to nasze?

— Ano, wiemy.

„Skąd? Dokąd? Panowie artyści?”. Starają się być miłą, ale rozmowa się nie klei. Jedziemy mimo deszczu. W Zbereżu, dzięki uprzejmości jednego z pracowników „Chelnika”, lokujemy się w ośrodku wypoczynkowym tego zakładu. Dokładne mycie, suche ubranie i gorąca herbata. Na okrasę półfinałowy mecz mistrzostw Europy Holandia — RFN. Próbuje czytać „Cesarza” Kapuścińskiego, ale wrzawa stadionu mocniejsza. Schodzę z herbatą do suterenu, gdzie telewizor.

Koniec odcinka 1. — cdn.

Adam W. Kulik

REPORTAŻ SPRZED PÓŁ WIEKU

TYLKO

Olgierd Iwaszkiewicz

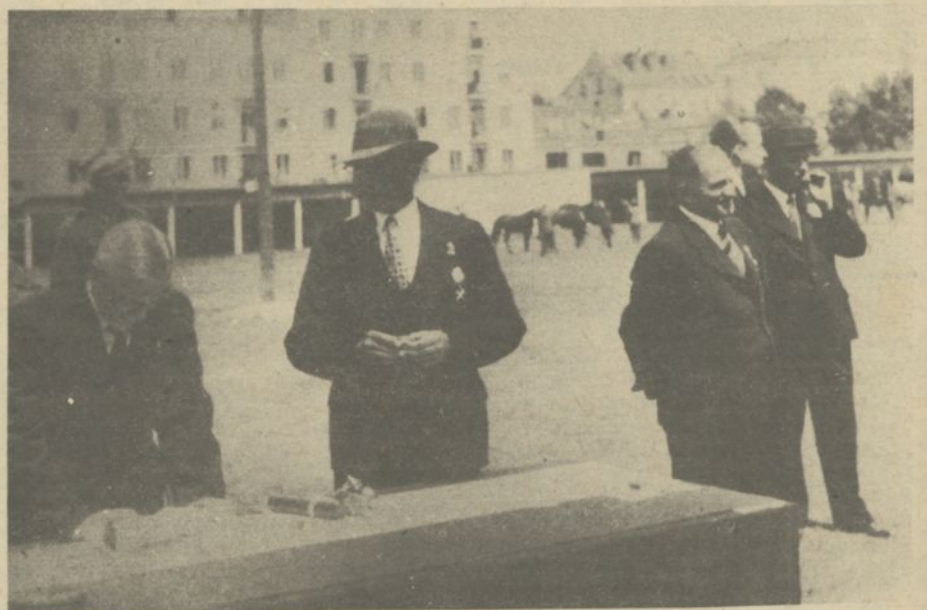
CIEKAWY naród ci koniarze. Niemal każdy z nich to potomek tych spod Somosierry i Rokity. Mają oczy artystów, fantazję kawalerzystów i chłodną odwagę naukowca — tymi słowami, krótko, pięknie i dobitnie, przedstawił środowisko hodowców koni reporter lubelskiej prasy w roku 1939.

Mówi gość ze Szwajcarii dr G. Cornot: — „Jestem zachwycony lubelską wystawą. Wątpię czy jest państwo w Europie, które mogło by zgrupować na jednym pokazie przeszło 450 koni tak wysokiej klasy”.

Expres Lubelsko-Wołyński z dnia 1 lipca 1939 roku: „W związku z wystawą Lublin zmienił całkowicie swoje oblicze. W mieście panuje niezwykle ruch. Wszystkie hotele i pensjonaty pozajmowane do ostatniego miejsca. Lokale publiczne przepelnione”.



Minister Poniatowski przy stajni koni włościańskich



Stół komisji sędziowskiej

KONI ŻAL...

Miejsce — plac wystawowy przy ulicy Lipowej w Lublinie, pomiędzy ul. Skłodowskiej i cmentarzem. Wielka trybuna dla widzów, wokół placu boksy dla koni, restauracja, bar, poczta, liczne kioski z najróżniejszymi napojami. Ulica Lipowa udekorowana flagami państw europejskich. Krajowa Wystawa Koni w Lublinie. 1, 2, 3 lipca 1939 roku.

Koń jaki jest każdy widzi, a że Polska zawsze hodowlą koni słynęła — każdy wie. Ale nie każdemu dziś wiadomo, że właśnie Lublin piastował zaszczytną rolę centrum hodowli konia w Polsce. Już od roku 1937 Lublin stał się miejscem corocznej demonstracji największych osiągnięć w tym względzie.

Kim byli ci miłośnicy konia, dla których stał się on sposobem na życie? Czytając nazwiska umieszczone w katalogu wystawy 1939 roku ma się wrażenie, że to księga rodów polskich. Wystawiali swe konie: hr. Chodkiewicz z Młynowa i ks. Radziwiłł z Olyki, wystawiali Potoccy, Lanckorońscy, Tarnowscy, Zamojscy i Lubomirscy, ale też rolnicy z różnych stron Polski. Liczył się koń, a nie nazwisko właściciela, toteż wśród nagrodzonych medalami za najlepsze konie — obok książęcych mitr i hrabiowskich koron — znajdowali się rolnicy: Piotr Ściuba z Milejowa, Bronisław Bochenek z Komarowa, Feliks Szczygielski z powiatu radzyńskiego i wielu, wielu innych. Rozdano 10 złotych i po 50 srebrnych i brązowych medali.

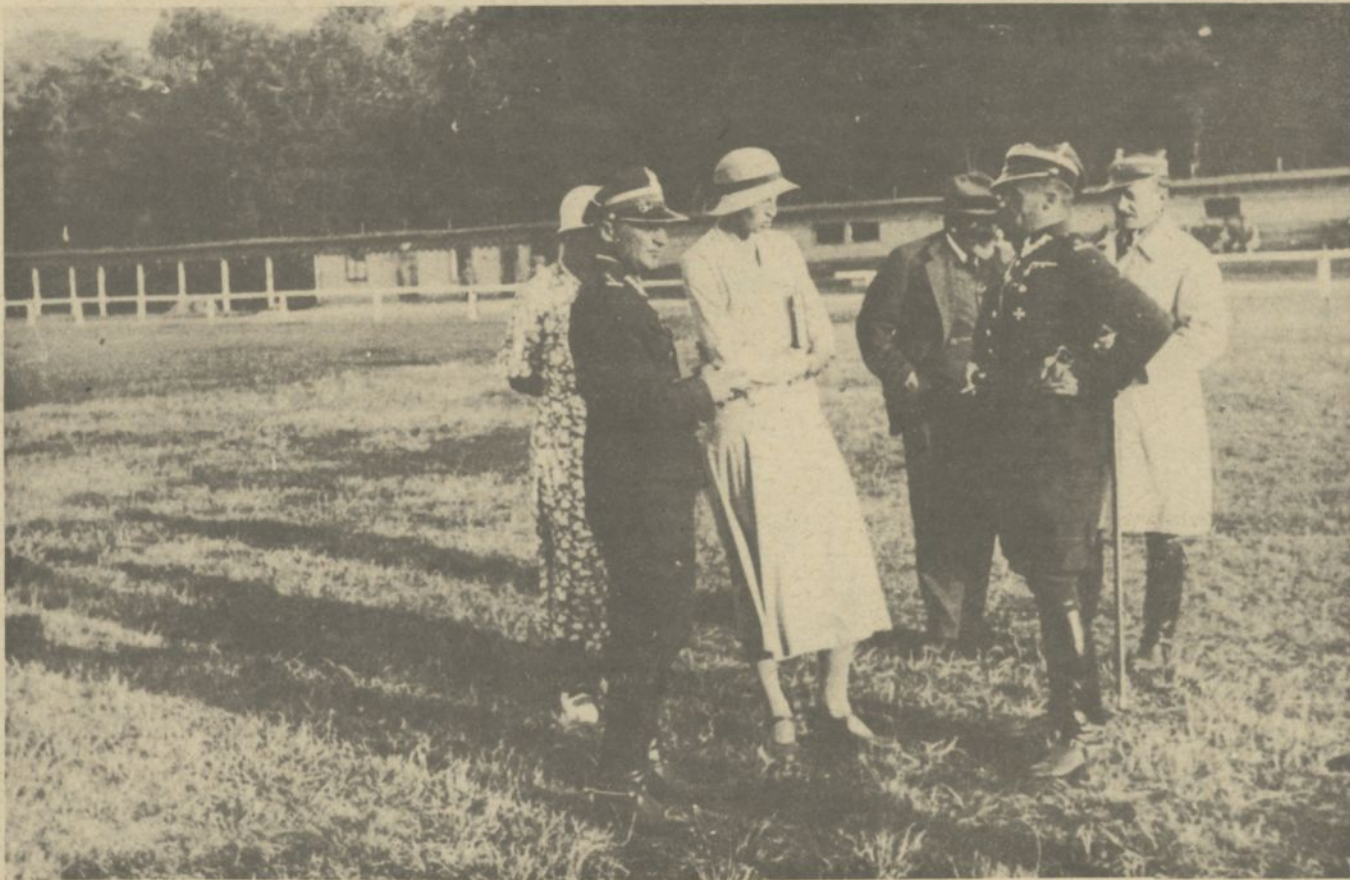
Pierwszego lipca o godzinie 11 otwarcie wystawy. Defiladę koni poprzedza banderia lubelskich chłopów. Prezentują się wspaniale i nic w tym dziwnego; większość z nich to dawni ulani. Protektorat nad wystawą objął minister spraw wojskowych, generał Kasprzycki. Jest minister rolnictwa Poniatowski, generałowie Dembiński i Anders, przybyło kilku ambasadorów, jest wojewoda lubelski Jerzy de Tramecourt. Są przedstawiciele naszych tradycyjnych zagranicznych „końskich rynków”: Estonii, Litwy, Łotwy, Szwecji, ZSRR i Turcji.

Po defiladzie — wręczenie medali i nagród pieniężnych. Stoją w jednym szeregu hrabiowie i chłopci zrównani wspólną pasją. Liczą się pieniądze, ale najważniejsze to honor i sława, jakie daje wyróżnienie na tej wystawie; to przecież szacunek i poważanie w całym powiecie.

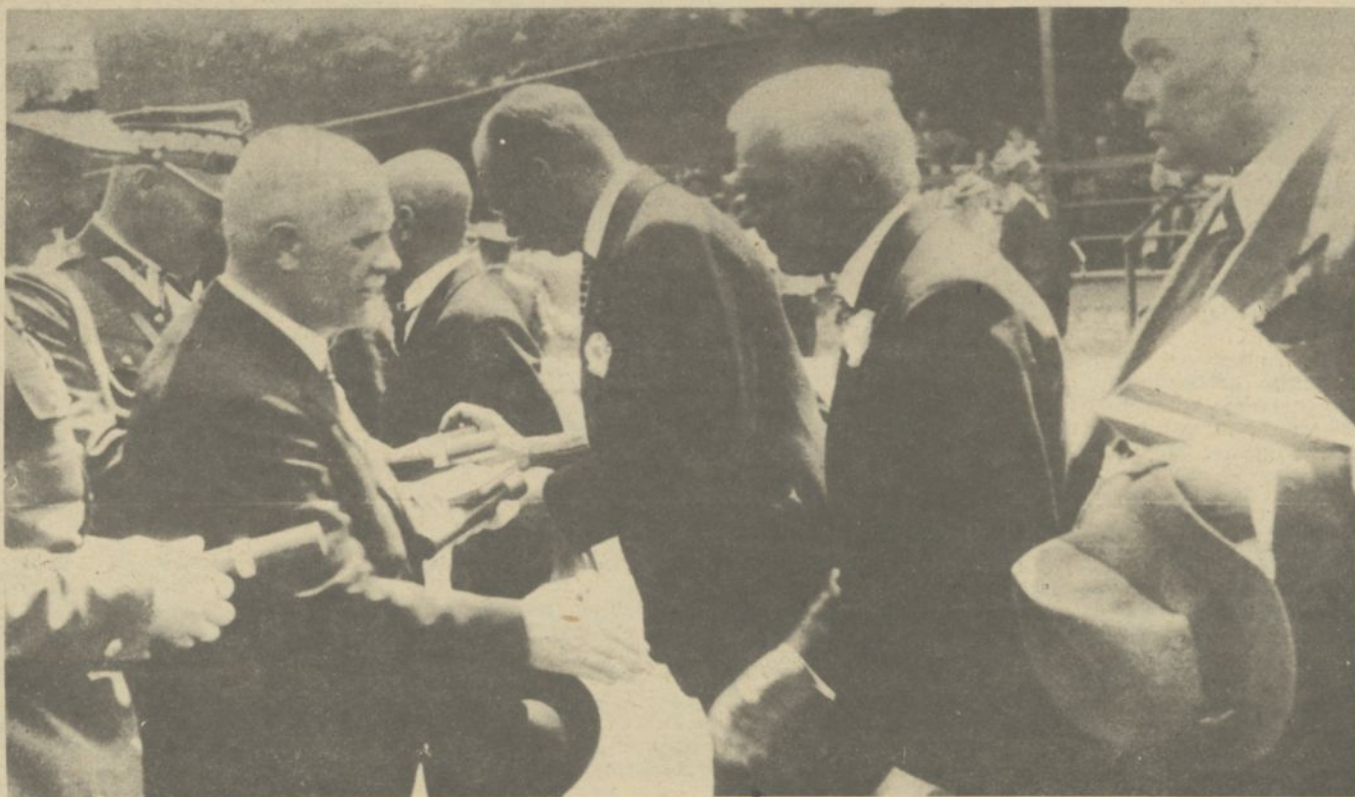
I jeszcze jedna uroczystość. Wszak to już lipiec 1939 roku. W marcu ogłoszono subskrypcję pożyczki na Fundusz Obrony Narodowej (FON). Naród się zbroi. Tylko w pierwszych czterech dniach na FON wpłynęło 41 milionów zł. Różne organizacje fundują uzbrojenie dla armii: działka, karabiny maszynowe. Na placu wystawowym pluton 8 pułku piechoty Legionów; przyjmuje dar — karabiny piechoty — ufundowane przez Antoniego Budnego, głowę znanej ziemiańskiej rodziny. To na jego placu odbywa się wystawa.

Tymczasem jednak jest pokój, a wojna wydaje się ciągle czymś zupełnie nierealnym. Wśród flag dekorujących ulicę Lipową jest i ta czerwona ze swastyką. Niemiecki miesięcznik poświęcony hodowli i jeździectwu „Sankt Georg” zamieści obszerny reportaż z wystawy. Rosnące napięcie w stosunkach polsko-niemieckich nie rozciąga się na sfery koniarzy.

Wystawa to również miejsce rozlicznych transakcji. Kupuje przede wszystkim wojsko, ale i prywatni nabywcy nie próżniają. Ogromne zainteresowanie przejawiają zagraniczni kupcy. Najwyższa osiągnięta cena wynosi 4000 zł. Średnia — 1770 zł. Fużo to, czy mało? Dla porównania trochę ówczesnych cen: chleb biały — 28 groszy za kg, baleron — 2 zł za kg, szynka — 3,60 za kg, duże piwo — 20 gr, 1000 szt. cegieł — 14 zł, tona węgla — 48 zł, rower — 110 zł, samochód polski fiat 3200 zł. A zarobki? Urzędnik państwo-



Teren wystawy w roku 1935. Stoją od lewej: mjr Czetwertyński, hr. Grocholska, mjr Iwaszkiewicz, mjr Grocholski, z brodą — stary książę Czetwertyński. Tak się złożyło, że osoby tu pokazane stały się w roku 1943 więźniami Zamku lubelskiego. W sprawie księcia i jego rodziny interweniował nawet dwór włoski, niestety bezskutecznie.



Marszałek Rydz-Śmigły wręcza odznaczenia. Otrzymują je organizatorzy wystawy Stefan Chodnikiewicz i Adam Iwaszkiewicz.

wy: 300—500 zł, inżynier: 500 zł i wyżej, maszynista kolejowy: 500—900 zł.

DRUGIEGO dnia wystawę odwiedza marszałek Rydz-Śmigły. Przybywa nieoficjalnie jako zwykły widz, ale przy okazji dokonuje wręczenia odznaczeń państwowych zasłużonym hodowcom. Zjawiają się też różne oficjalne osobistości, ale wszyscy jako zwykli goście, cicho i bez żadnej pompy. Powszechną uwagę zwraca żona ambasadora Hiszpanii, śliczna pani w jasnym szerokim kapeluszu. Panie z towarzystwa wyróżniają się okropnymi strojami. One są ponad, one są stroj-

ne jedynie w nazwiska. Jest w tym jakiś snobizm na — niczym mundur — stare i niemodne suknie. Pamiętam mego ojca w rozmowie z panią przyodzianą w straszny, wyswiechtany prochowiec, spięty na brzuchu wielką agrafką. Potem dowiedziałem się, że była to księżna...

Organizatorem wystawy był Związek Hodowców Koni przy Lubelskiej Izbie Rolniczej. Nieprzypadkowo: hodowla konia na Lubelszczyźnie stała szczególnie wysoko, przysparzając dochodu właścicielom i państwu.

Dalsze losy placu wystawowego nie były wesołe. Po wojnie 1939 roku stał się on przejściowo obozem dla polskich żołnierzy pochodzenia żydowskiego. Następnie Niemcy wybudowali tam długie baraki z pruskiego muru, a teren wystawowy został zamieniony na koszary formacji litewskich i innych. Po wyzwoleniu całość przejęło wojsko, aby z kolei przekazać go miastu, no i mamy tam teraz, pożałujcie Boże, centrum handlowe i jeden z koszmarniejszych zakątków miasta.

Fot. Archiwum
Repr. Waldemar Stępień

„NIGDY NIE UWAŻAŁEM SIĘ ZA BOHATERA CZY KOMBATANTA”

Rozmowa z Wacławem Białym - dziennikarzem, szefem Biura Prasowego KO „Solidarność” woj. lubelskiego

KIEDY zwróciłem się do niego z prośbą o wywiad dla „Relacji”, Wacław Biały odpowiedział: „Dlaczego ja? Jest przecież tylu wspaniałych ludzi, na przykład ci, którzy przez siedem lat robili Informator Regionu Środkowo-Wschodniego. Nie jestem żadnym bohaterem, ani tym bardziej kombatantem. Po prostu udało mi się uprawiać przez ostatnie lata swój zawód i cieszyć się, że nie zostałem stolarzem czy ogrodnikiem”.

Ostatecznie zgodził się na rozmowę i zaczął od swego rodowodu:

— Urodziłem się w Dukli, małym galicyjskim miasteczku z brukowanym rynkiem i studnią na pompę pośrodku. Studni już nie ma, miasteczko już nie jest takie galicyjskie, choć nadal jest małe. W roku 1962 przyjechałem do Lublina studiować polonistykę. Były to studia przyjemne i sądzę, że dużo mi dały, chociaż specjalnie nie wyróżniałem się jako student. Pobierałem nauki o rok dłużej i zdążyłem załapać się na marzec '68. Jakoś nie miałem wtedy kłopotu z wyborem właściwej strony i poszedłem z innymi sprzed Chatki Żaka ku Krakowskiemu Przedmieściu. Na wysokości Domu Nauczyciela zatrzymał nas kordon milicji. Po raz pierwszy zobaczyłem ich wówczas w akcji z bronią, psami i pałkami.

— Balesi się?

— Bardzo, ale że siedłem w szeregu i wszyscy trzymaliśmy się pod rękę, ucieczka nie wchodziła w rachubę.

— Czy zostali pobity?

— Nie, jakos mi się udało.

— Niektórzy mówią dzisiaj, że szkoda, że gdybyś wtedy dostał, może by cię to czegoś nauczyło.

— Bicie to jednak kiepska nauka, wystarczyło popatrzeć na 45 lat PRL.

— Dobrze, zostawmy ten wątek, który nie mieści się w linii programowej czasopisma wydawanego przez RSW. Ale pytanie musi być postawione: może szkoda jednak, że nie dostałeś pałą po grzbiecie, że trzy lata później nie pisał się do PZPR.

— Nigdy tego nie ukrywałem. Chciałem, jak każdy z nas, Polski lepszej i sprawiedliwszej, toteż na hasło „pomoczenie” wstąpiłem do partii, która — jak wtedy sądziłem — również pragnęła tego samego.

— I co dalej?

— W czerwcu '76 wybrałem się na wakacje. Byłem na żaglach, gdy usłyszałem przez radio, co się w Polsce dzieje.

— I wobec tego przerwałś urlop?

— Nie! Przeciwnie — cieszyłem się, że mam wakacje, że nie muszę być w redakcji i że nie ma telefonu pod ręką, który musiałbym odebrać. Albowiem wiedziałem dobrze, co będzie za chwilę: zebrania, głosowania, rezolucje, uchwały, potępienia i tak dalej. A przede wszystkim — bytyby polecenia, że muszę gdzieś pójść, pojechać i następnie zrobić „szuszy” materiał o „warcholach”. Tymczasem ja o tym wszystkim słuchałem w radiu i cieszyłem się, że sam, jako dziennikarz radiowy, nie muszę tego wykonywać.

— A więc pełny komfort?

— Wiem, że to świadczy przeciwko mnie, ale powiem prawdę: byłem — w

jakimś sensie — rad, że nie muszę w tym wszystkim uczestniczyć, ponieważ znając siebie, wiedziałem, że nie zawsze mogę na sobie polegać i — być może — nie podniosłbym ręki we właściwym momencie.

— Właściwym?

— Albo niewłaściwym. Był w rozgłosie taki jeden, co podniósł rękę w niewłaściwym momencie. On nawet nie tyle głosował „za” czy „przeciw”, ile po prostu wstrzymał się od głosu i ten dzień był jego ostatnim dniem w tej robocie. Został natychmiast wyrzucony.

— Pamiętasz go?

— Tak, to był Henryk Szych — znakomity kamerzysta.

— A kiedy wypisałeś się z PZPR?

— Dopiero pięć lat później. Tego dnia usunęto z partii Stefana Bratkowskiego i ja, na znak protestu, także złożyłem legitymację.

— Ejże! Nie obchodziły cię ani pryncypia ani imponderabilia?

— Skoro nie rozumiesz, to powiem precyzyjnie. W swoim piśmie, gdzie uzasadniałem ten krok, napisałem, że nie chcę należeć do organizacji, która w swych szeregach woli Albina Siwaka od Stefana Bratkowskiego. Była to, oczywiście, pewna metafora, ale na takim poziomie czytelności, że dla każdego jasna.

— A więc w ogóle nie podnosiłeś ręki i zachowywałś ciszę w Polskim Radiu. Co było z tobą dalej? Jak to się stało, że jesteś dzisiaj uważany w Lublinie za jednego z opozycjonistów?

— Opozycjonistą byłem od bardzo dawna, tak samo jak większość Polaków, co jednoznacznie wyszło na jaw podczas wyborów. Zapytaj więc inaczej, czyli tak, aby twoje pytanie było bliższe istocie rzeczy.

— A zatem z innej beczki: jak to się stało, że twoja opozycyjność znalazła usankcjonowanie w oficjalnych strukturach opozycji? Ale szeserse!

— To był znowu przypadek. 13 grudnia pojechałem z Januszem Winlarskim robić reportaż ze strajkującego Swidnika...

— Czy byłeś w WSK, kiedy fabryka została wzięta siłą przez ZOMO?

— Nie, wyjechaliśmy wcześniej. Milicja czekała na nas paręset metrów za bramą. A że samochód wyładowany był „bibułą”, skutek był łatwy do przewidzenia. Areszt, sąd i wyrok skazujący.

• Ile siedziałś?

— Znowu udało mi się, gdy dostałem dwa lata w zawieszaniu, tak że siedziałem tylko przez dwa miesiące, czyli do rozprawy. A więc nie ma o czym mówić, bo inni siedzieli za kratkami przez całe lata.

— Jak smodziłaś izolację?

— Najgorszy był potworny smród i brud w areszcie na ul. Północnej. Potem było już lepiej, przeniesiono mnie na Zemborzycę. Ale to moje króciutkie siedzenie i sama rozprawa w budynku lubelskiej operetki, gdzie za ścianą trwała akurat próba „Wesołej wojny”, sprawiła, że w moim położeniu więcej było farsy niż prawdziwego zagrożenia.

— Wróciłeś do pracy w radiu?

— Skądże! Radio było wówczas zmilitaryzowane, więc zgodnie z prawdą i ówczesną nomenklaturą, można po-

wiedzieć, że zostałem „zwolniony ze służby”.

— Masz o to do kogoś pretensje?

— Nie! Gdyby nie moje ówczesne doświadczenia i przeżycia, byłbym pewnie dzisiaj innym człowiekiem i na innym miejscu. Tymczasem jestem bardzo zadowolony, że robię to, co robię, w tym miejscu i dla tych ludzi.

— Ale przecież musieliś z czegoś żyć przez całe siedem lat dziennikarskiego bezrobocia. Jak zarabiałeś na życie?

— Najpierw wynajmowałem się do zrywania jabłek. To było wspaniałe: sady, dobrana grupa przyjaciół i prawdziwa radość, że jestem daleko od instytucji, zajmującej się propagandą, która napawała mnie wówczas prawdziwym obrzydzeniem. Byłem zadowolony, że nie muszę się szmacić i wtedy podjąłem ostateczną decyzję.

— Jaka?

— Ze jeżeli będę jeszcze kiedyś dziennikarzem, to będę służył ludziom, nigdy — władzy.

— Ale może wróćmy jeszcze do tamtych czasów. Co było, kiedy jabłka zostały zerwane?

— Było trochę smutno, gdyż pracowałem w doborowym towarzystwie, między innymi Janka Spiewaka (nieżyjącego już), Andrzeja Garczarka i Leszka Wiśniewskiego, który jest dzisiaj moim kolegą w „Relacjach”. Później byłem stróżem nocnym w kamienicy Stowarzyszenia Twórców Ludowych na Grodzkiej, a jeszcze później — subiektem w sklepie Mariana Buczka „Cióch” na Długosza.

— Buczka także usunięto z pracy dziennikarskiej. Dużo było takich w Lublinie, którzy musieli iść się stróżowania i handlu?

— Dwadzieścia parę osób, w tym — oczywiście — dziewczyny, które tę sytuację znosiły — może? — łatwiej, bo kobieta, oprócz pracy zawodowej, ma inne zajęcia, które ją satysfakcjonują. Staraliśmy się pomagać sobie wzajemnie, spotykaliśmy się regularnie i to sprawiło, że zżyliśmy się.

— Czy trudno było ci wytrzymać te siedem lat, w których byłeś odsunięty od profesjonalnego dziennikarstwa?

— Po prostu nie miałem innego wyboru, wiedziałem o tym doskonale, toteż nie chodziłem po redakcjach i nie zebrałem.

— Mówisz teraz nie o przypadku, ale o świadomym wyborze. Czy to był wybór trudny?

— Hm, wybór... To jest tak, że po jakimś czasie suma przypadków składa się na sytuację, która ustawia ciebie w pewnych koleinach i musisz zdecydować tak a nie inaczej. Dobrze zrozum: nie mówię o jakimś przymusie czy determinacji. Jest to sytuacja wewnętrzna, psychologiczna, podbudowana twoim osobistym doświadczeniem i tym, czego dowiedziałeś się o innych ludziach. Więc nie możesz się już cofnąć, bo, powiedzmy, godząc się na pracę w aparacie propagandy podczas stanu wojennego, byłbym już godził się świadomie na to, że będę musiał kłamać. A jeżeli udałoby mi się przed tym uchronić, to przecież jasne byłoby, że biorę pieniądze od firmy, gdzie produkuje się kłamstwa. Na coś takiego nie mógłbym się już zgodzić, za żadną cenę.

— Czy wobec tego zgodziłbyś się z opinią, że lata 1980-88 ukształtowały ciebie na nowo?

— To byłby duży skrót myślowy, ale bliżki prawdy. Zmieniłbym się chyba wszyscy i tylko ludzie napraw-



Fot. Waldemar Stępień

dę „nieprzemakalni” przeszli przez okres tamtej „Solidarności” i stan wojenny bez wyraźnego śladu na duszy. W sumie: był to dla mnie czas ważny i znaczący i w zasadzie powinienem podziękować tym, którzy mnie wtedy wsadzili za kratki, sądzili i wyrzucili z pracy.

— Te zrozumiałe, ponieważ zdjęli z ciebie konieczność decydowania.

— Tak, to byłoby właściwe postawienie sprawy. Dlatego nigdy nie uważałem się za bohatera czy kombatanta, ponieważ wiele było w moim życiu przypadków i decyzji, które przychodziły do mnie z zewnątrz. A ja, po prostu, starałem się przez ten cały czas zachowywać przyzwoicie. Uważam zresztą, że stara, przedwojenna recepta na życie, sformułowana przez Antoniego Słonimskiego, sprawdza się najlepiej. Otóż ten poeta i znakomity dziennikarz-felietonista powiedział był, że jeżeli w jakiejś sytuacji nie wiesz, jak postąpić, to zawsze, zawsze zachowaj się chociaż przyzwoicie. I nigdy nie żałowałem, że trzymałem się ślepo tej prostej zasady.

— A teraz, używając słów pewnego polityka, zamytamy przeszłość, a otwieramy teraźniejszość i przyszłość. Jak oceniasz swój udział w wyborczym zwycięstwie „Solidarności”?

— Twoje pytanie prowadzi, że należysz do „nieprzemakalnych”, skoro myślisz tak jak ci, którzy uważają, że „Solidarność” wygrała wybory dzięki propagandzie.

— Chciałem ciebie trochę sprowokować!

— Jeżeli tak, to odpowiadam poważnie. Zwycięstwo „Solidarności” nie jest zasługą tych paru minut w telewizji, agitacji przed siedzibą Komitetu Obywatelskiego czy dwukartkowego „Biuletynu”. To zwycięstwo jest — jak powiedziałby Kisiel — skutkiem czterdziestu pięciu lat socjalizmu. A jeżeli ktoś tego nie rozumiał, to nie powinien brać się do rządzenia krajem. Albowiem polityk, nawet gdy nie akceptuje społeczeństwa i wartości, które społeczeństwo ceni, to powinien w pierwszym rzędzie rozumieć. Inaczej — reaguje bebeciami, kieruje się emocjami, urazami i popełnia błędy. Każdy, kto oczekiwał, że wynik wyborów będzie inny, dowiódł, że nie rozumie Polski i Polaków. Dyskwalifikuje to każdego, kto chce brać się za politykę.

— A jaka jest w tym wszystkim rola dziennikarska?

— On musi robić wszystko, aby ci, co stoją naprzeciw siebie, mogli się dobrze poznać i porozumieć. On pracuje na rzecz, jak to dobrze nazwano w Białymstoku — społecznego komunikowania. Po prostu: dziennikarz nie może trzymać się żadnej strony, ale przekazywać wiernie to, co mówią wszyscy. Jeżeli na linii tego przekazu powstają zakłócenia, do komunikacji wkrada się fałsz, powstaje chaos i chociaż czasami jedna ze stron może uznać się za zwycięską, to zawsze, w konsekwencji, za taki fałsz płacimy wszyscy.

— A zatem: dziennikarskie wszystkiek czas — nie kłamcie!

— To jest dobre hasło, może je wykorzystam w jakiejś audycji.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Andrzej W. Pawluczuk

WARTYKULE „Zabrakło centrum” prof. Ryszard Bender przedstawia swoją opinię na temat wyborów i sytuacji w nowo wybranym parlamencie. Autor zarówno ordynację, jak ukształtowany w wyniku wyborów układ sił, ocenia krytycznie. Mimo iż krytyka ordynacji, a także obawy o dalszy rozwój wydarzeń w kraju są powszechne, tekst prof. Bendera budzi zasadnicze wątpliwości.

Zacznijmy od oceny ordynacji i interpretacji wyników wyborów. Prof. Bender pisze — słusznie — że wybory nie były demokratyczne. Mandaty podzielone zostały przed wyborami pomiędzy PZPR i jej aliantów oraz — uwaga! — bezpartyjnych, a nie — jak chce prof. Bender — kandydatów Komitetów Obywatelskich. Ci ostatni nie mie-

rem). Są także ludzie, którzy nie określają swoich poglądów w kategoriach tradycyjnych kierunków politycznych. Nie mam też żadnych wątpliwości, że ta różnorodność ujawni się w pracy parlamentarnej.

Na miejscu Autora tekstu „Zabrakło centrum”, unikalnym nawet przez jakiś czas spotkaniem z niektórymi świeżo wybranymi członkami Zgromadzenia Narodowego. Część z nich posiadająca o socjalistyczne sympatie uważa za ostatnie słowo do bicia.

Prof. Bender nie lubi Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Ma do tego prawo. Aby przekonać czytelnika do swoich racji, ludziom należącym do KO (a w części także do kierownictwa NSZZ „Solidarność”) wypomina komunistyczną przeszłość. Sugeruje, że kto był komunistą temu ufać nie można, bo jest jakoś zdeprawowany, a

lub państwowym, chyba że otrzymali do tego mandat od konkretnej grupy społecznej. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że systemu oni nie naprawiali — oni chcieli go gruntownie zmienić.

Nie wydaje mi się eleganckie, gdy pod adresem tej grupy wysuwa się zarzuty komunistycznej przeszłości, zwłaszcza gdy czynią to dziennikarze z prasy zasłużonej w walce z „Solidarnością” lub poseł IX kadencji. Kiedy R. Bender zostawał posłem z listy krajowej (w roku 1985) niektórzy (od wielu już lat) byli komuniści otrzymywali wyroki więzienia od komunistów aktualnych za działalność w „Solidarności”. Chcę być dobrze zrozumiany — nie uważam, że tamta postać z roku 1985 ma dziś decydować o ocenie działalności politycznych. Protest mój budzi tylko zbyt łatwe się-

nego. Wolna od socjalistycznych dewiacji centrystyczna opozycja pozaparlamentarna (czyli taka, która nie weszła do parlamentu, choć chciała) „będzie w stanie jak kiedyś związkowa „Solidarność”, wchłonąć i zamortyzować niezadowolenie społeczne”. Przyznaję, że nie nie rozumiem. Co to znaczy „wchłonąć niezadowolenie”? Jak chce to uczynić przegrane w wyborach centrum? Czy Autor chce zasugerować że np. KPN (do Sejmu nie weszła) będzie pacyfikować strajki, po to, aby uratować „porozumienia okrągłego stołu”? A może tym gwałtownie radykalizującym się po 4 czerwca centrum jest sam Autor? Wszak do dziś widać w Lublinie plakaty przedwyborcze, w których prof. Bender zapowiada stanowczą walkę z komunizmem, a na własne uszy słyszałem w tv, jak mówił o sobie jako o człowieku centrum. Byłaby to zapowiedź nowego wcielenia politycznego prof. Bendera?

Otóż myślę — niezależnie od tego co prof. Bender miał na myśli — że społeczeństwo nadal nadzieje na obronę swoich praw obywatelskich i pracowniczych wiąże z NSZZ „Solidarność” i związanymi z nim inicjatywami społecznymi i politycznymi. Myślę, że także ci, którym nie starczyło nadziei na to, by pofatygować się do Komisji Wyborczej — więcej oczekują od „Solidarności” niż od innych grup politycznych, związkowych czy innych.

Chciałby prof. Bender mieć w Polsce model parlamentaryzmu angielskiego czy zachodnio-niemieckiego. Jest to pragnienie powszechne, tylko jakby trudne do zrealizowania od jutra. Za jakiś czas — być może. Wcześniej musimy jednak wywalczyć prawo do demokratycznej organizacji społeczeństwa, a potem jeszcze umieć z tego prawa skorzystać. To zdanie społeczeństwo powierzyło „drużynie” Wałęsy. Odmawiając poparcia innym ugrupowaniom, jasno Polacy wskazali kogo i co popierają.

Słowo na inny drażliwy temat. Widać jeszcze w Lublinie plakaty sugerujące, że L. Wałęsa stwierdził potrzebę obecności prof. Bendera w Sejmie. Mieli o to do p. Bendera pretensje działacze związku. Myślę, że słuszne. NSZZ „Solidarność” jest związkiem konkretnych ludzi, którzy mają prawo domagać się, żeby wyborcy wiedzieli kto jest kim i kogo popiera L. Wałęsa. Otóż, mam nadzieję, że artykuł „Zabrakło centrum” uchylił ostatnie wątpliwości. Rozumiem, że to co dla działaczy „Solidarności” nie ulegało wątpliwości — tzn. że prof. Bender jest z ruchem „S” zbyt luźno związany, aby mógł być jego reprezentantem — stało się równie jasne dla samego zainteresowanego. Jeżeli mam rację, to opublikowanie artykułu prof. Bendera uważam za pożyteczne.

PS. Jest taki wierszyk Boya:

Dostał nagle takiej manii,
że chciał tylko od Stefani.

Wygląda na to, że „Relacje” też dostały manii — interesują ich tylko kandydaci, którzy w wyborach przepadli. Najpierw Bender, potem Pałak. Do następnych wyborów zdają się pewnie przedstawić wszyscy niewybrani kandydaci, ale może zabraknąć czasu dla tych, którzy przeszli.

Wojciech Samoliński jest redaktorem „Zeszytów Naukowych KUL”. W latach 1980-81 rzecznik prasowy Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”. Członek Tymczasowego Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność”.

PO PRZEGRANYCH WYBORACH POLEMIKA Z PROF. BENDEREM

Wojciech Samoliński

li zagwarantowanych miejsc ani w Sejmie, ani w Senacie. Aby być użytecznym musieliby zdobyć więcej głosów od innych kandydatów do bezpartyjnych mandatów, a więc od kandydatów tak czy inaczej związanych z władzą, lub z ugrupowaniami opozycyjnymi (np. z KPN czy Stronnictwem Pracy). To wyborcy, a nie porozumienia „okrągłego stołu”, zdecydowali o rozdziale 35 proc. miejsc w Sejmie i 100 proc. miejsc w Senacie. Krytykując ordynację wyborczą — o niebo przecież lepszą od poprzednio obowiązujących, które w praktyce prawo wyboru wszystkich posłów przynależały komisjom układającym listy kandydatów — nie można tego akurat faktu zaprzeczać.

Drugi zarzut przeciwko prof. Bendera opisowi sytuacji, dotyczy jego wizji Komitetów Obywatelskich „Solidarność”. Rozumiem wszystkie żale Pana Profesora, ale tak pisać nie wolno. Czytamy w artykule, że Komitetem Obywatelskim „Solidarność” sterują byli komuniści, których strategicznym celem „wydaje się być przekonanie Polaków do socjalizmu”. Są to ludzie genealogicznie wywodzący się z tej samej co PZPR opcyj politycznej, którzy od komunizmu ewoluowali w stronę socjaldemokracji. Autor uważa, że takiej opozycji chrześcijańskie społeczeństwo nie uzna za własną.

Przyszłość pokaże, czy społeczeństwo podtrzyma mandat udzielony posłom i senatorom 4 czerwca. Jeżeli nawet tak nie będzie, to przyczyny będą inne niż światopoglądowe — tego możemy być pewni.

Aby się przekonać, że opinia na temat jednorodności politycznej kandydatów KO „Solidarność” jest zupełnie fałszywa, nie trzeba czekać — wystarczy przejrzeć listę członków Komitetu i popartych przez Komitet kandydatów. Są wśród nich ludzie o najróżniejszych sympatiach politycznych. Są liberałowie i sympatycy KPN, osoby związane z tradycjami ruchu narodowego i ludowego, są socjaldemokraci i chrześcijańscy demokraci. (Notabene ci ostatni reklamowali się w tygodniku „Ład” razem z R. Bende-

przynajmniej można go o coś podejrzewać. Z tego czyni jeden z zarzutów przeciw KO „S”.

Rzeczywiście, komuniści i komunizm nie cieszą się w Polsce dobrą opinią. Wiedział o tym także autor życiorysu posła-elektę Zygmunta Łupiny opublikowanego w „Kurierze Lubelskim” (przed wyborami oczywiście). Napisał mianowicie: „do 1957 roku członek ZMP i PZPR. Aktualnie bezpartyjny”. Na tej samej zasadzie mógł napisać: „do 2 roku życia karmiony przez matkę. Aktualnie je sam”. Rzecz jest tym zabawniejsza, że w umieszczonych obok życiorysach aktualnych członków partii ich przynależność do PZPR pominięto, czyli ukryto fakt, że nie umieją posługiwać się nożem i widelcem samodzielnie.

Atakowanie przeciwnika przez podkreślanie jego związków z PZPR lub jej programem — teraz lub w przeszłości — stało się zabiegiem często stosowanym. Szeroko używała go w czasie kampanii wyborczej strona solidarnościowa, twierdząc, że to PZPR i jej ideologia są winne temu, że jesteśmy w aż tak marnym położeniu. Sądzę, że zarzut jest celny, skierowany pod właściwym adresem i nieźle uzasadniony. Większość Polaków podzieliła ten pogląd 4 czerwca. Mam natomiast poważne wątpliwości czy wolno go używać przeciw drugiej stronie, tak jak uczynili to prof. Bender i niepodpisany autor życiorysu Z. Łupiny z „Kuriera Lubelskiego”.

NAJWAŻNIEJSZYM wspólnym doświadczeniem społecznym osób związanych z ruchem „Solidarność” jest metoda społecznej aktywności. Wszyscy posłowie i senatorowie poparci przez KO „S” (a przynajmniej ci, o których wiemy więcej) działali w niezależnych organizacjach w latach 1976-1989 (często były to także organizacje nielegalne lub półlegalne). Wielu jest działaczami NSZZ „S” lub NSZZ RI „Solidarność”. Inni pracowali w KIK-ach, w samorządach pracowniczych, komisjach charytatywnych itp. Nie brali przy tym udziału w przedsięwzięciach związanych z pogrudniowym aparatem partyjnym

ganie po argumenty z odległej przeszłości w sporach dziś rozstrzyganych. Znam zresztą takich, którzy będą się upierać, że więcej wspólnej genealogii znajdują u prof. Bendera i jego kolegów z listy krajowej z roku 1985, niż u działaczy „Solidarności”, którzy kiedyś należeli do partii i ich partnerów z drugiej strony „okrągłego stołu”.

Prof. Bender uważa, że źle się stało, że w parlamencie zasiadają wyłącznie osoby, ukształtowane przez diametralnie różne doświadczenia ostatnich lat. Jego zdaniem, brak centrum — „widoczny jak na dłoni” — odbija się fatalnie na pracy parlamentu. Przeczytałem artykuł kilka razy, ale jakoś nie znalazłem argumentów, które by mnie przekonały o potrzebie istnienia takiego centrum. Zgadzałem się: taki wynik wyborów stwarza niebezpieczeństwo samozablokowania się parlamentu (większość PZPR i jej sojuszników w Sejmie, ale mniejsza niż 2/3, i opozycyjni w blisko 100 proc. Senat). Jeżeli te dwie siły nie zdołają uzgodnić wspólnego działania dla reformowania Polski, to kadencja parlamentu będzie krótsza niż 4 lata. Można się także obawiać, że nowy układ załamie się nie wskutek gry parlamentarnej, ale z powodu masowych protestów zdesperowanego społeczeństwa. To wszystko prawda, ale konia z rzędem temu, kto wytłumaczy, jakie centrum parlamentarne mogłoby temu zapobiec. Kształt ustaw sejmowych będzie wynikiem jakichś kompromisów pomiędzy stronami, a jeśli kompromis będzie niemożliwy, to żadne centrum nic nie pomoże. W innych warunkach małe partie mogą rozstrzygać o losach ustaw i rządów, ale w Polsce AD 1989 demokracje mamy tylko na 35 proc. Reszta (jak na razie) decyduje się w inny, niż kanony demokracji przewidują, sposób.

Dalej prof. Bender przewiduje następujący los tak niegodziwie przez wyborców potraktowanego centrum: Uwikłana w gry parlamentarne i zdominowana przez socjaldemokratów „Solidarność” nie będzie w stanie zamortyzować niezadowolenia społecz-

konstytucyjny zapis o przewodniej roli partii, mieli monopol na reprezentowanie „interesów szerokich rzesz ludzi pracy na wszystkich etapach budownictwa socjalistycznego”. Wprawdzie VI Zjazd PZPR zaakceptował zasadę, że partia kieruje, a rząd rządzi, ale w praktyce wyglądało to tak, iż rządzili ci, których partia skierowała.

Nomenklatura i nomenklaturszczyk — były to określenia przez dziesięciolecia zakazane. Oficjalnie mówiło się jedynie o słusznym sterowaniu przez PZPR szeroko pojętą polityką kadrową. Ponad czterdziestoletnia historia realnego socjalizmu w Polsce dowiodła, że tzw. rekomendacja partyjna wystarczała do objęcia każdego stanowiska. Mieliśmy zatem różnych dyrektorów, kierowników, ministrów co to i w rolnictwie się sprawdzili, i problemy kultury nie były im obce. Jechali więc „po linii” od przystanku

do przystanku, lądując w efekcie na różnych placówkach zagranicznych lub na „zasłużonych” emeryturach. Ich przynależność partyjna była po prostu nie do przeskoczenia.

Zapewne red. Szynzielorz, jako członek PZPR, doskonale orientuje się w systemie funkcjonowania partyjnej nomenklatury. Skąd zatem takie oburzenie na postępowanie „Solidarności”? Czyżby następował nawrót do myślenia pewnego sympatycznego skądinąd Murzyna (Kali ukrasć — dobrze, Kalemę ukrasć — źle)?

Słyszałem różne zarzuty kierowane przez opozycję pod adresem partii i rządu (vide sprawa nomenklatury), ale nikt nigdy nie powiedział, że nawet krowa z legitymacją partyjną mogła w PRL zostać dyrektorem czy ministrem. Kultura bowiem obowiązuje również w polityce.

KROWA ZE STEMPLEM

Zbigniew Dzięciołek

POWYBORCZE emocje już opadły. Rozpoczęły się obrady obu izb polskiego parlamentu. Nie wszyscy jednak pogodzili się z wynikami czwarcowych wyborów.

Karol Szynzielorz, kandydujący do Senatu z ziemi polskiej, napisał w „Przeglądzie Tygodniowym” („Smak przegranej”, Nr 25) „[...] że nawet krowa ze stemplem »Solidarność« wybitym na jej grzbiecie mogłaby w takim plebiscyficznym wygrać”.

Hm. Powiedziane mocno i bez owijania w bawełnę. Tylko skąd ten sar-

kazm? Rozumiem, że gorycz porażki rodzi zdenerwowanie i niechęć do przeciwnika. Ale żeby aż tak? No, no...

Znam red. Szynzielorz z jego sobotnich komentarzy telewizyjnych, których z przyjemnością słucha tysiące Polaków. Ze swadą i znajomością rzeczy relacjonuje on w owe wieczory przebieg najważniejszych wydarzeń światowych mijających tygodnia. Tym bardziej nie podejrzewam go o nieznaną polskim realiów politycznych. Wiadomo przecież, że w PRL od 1945 roku zawsze jedni i ci sami mieli rację. Oni też, ze względu na

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA”

BYL 16 czerwca 1949 r. Boże Ciało.
Alicja Karłowicz: — W studenckiej kolumnie podeszliśmy pod Ratusz. Nabożeństwo odprawiał biskup Goliński. W pewnym momencie, od strony ulicy Lubartowskiej słyszę klakson. Potem jakieś zamieszanie, krzyki. Z ust do ust podawana jest wiadomość, że samochód UB wjechał w tłum wernych, taranuje ludzi. Pamiętam wołanie biskupa: „Ludzie, proszę was, uspokójcie się! To jest prowokacja, nie ruszajcie ich!” „Gazik” został przewrócony do góry kołami, ale tym, którzy jechali nim, w tym — jak się dowiedziałam później — szefowi wojewódzkiego UB, nic się nie stało.

Leon Karłowicz: — W momencie zajścia, w oknach wokół placu Łokietka, pokazały się aparaty fotograficzne. Wkrótce w tę stronę zaczęły iść kolumny milicji. Zaczęła się łapanka. My

— Niedawno w kościele w Dorohusku, odbywała się uroczystość z okazji odsłonięcia tablicy poświęconej 27 Dywizji. Jeden z naszych — jak to mówimy do dziś — chłopców, akurat po świeżo przeżytym zawale, wzruszył się widokiem dawno nie oglądanych kolegów i dowódców, samą uroczystością: bęc, leży! Stojący obok wołają: „sanitariuszka”. I, proszę pana, trzy sanitariuszki natychmiast są przy nim. Wiedziały o jego zawale, toteż do kieszeni po nitroglicerynę, i pod język nieprzytomnego. Chłopak za chwilę wstał i mówi: „Wiecie co, tych czterdziestu paru lat nie było... To jak w czterdziestym czwartym...” Rozbeczał się, zresztą nie tylko on.

„Dwudziesta siódma” po wyrwaniu się z niemieckiego okrażenia na Wołyniu, i po walkach na Polesiu, w 1944 przeprowadziła się przez Bug. Lubelscy partyzanci skierowali Wołynia-

podjmując pracę w ochronie, a później w Zjednoczeniu Energetycznym (ona) i w Technikum Pszczelarskim w Pszczelach Woli (on). Rozpoczęli studia na KUL. W 1948 r. pobrali się. 16 czerwca roku następnego wybrali się na uroczystości Bożego Ciała. W kilkanaście dni później, o północy, zasłaniała sobą leżący na oknie męzowski pamiętnik. Dowód „wrogiej” Karłowiczów przeszłości pozostał niezauważony. Mimo towarzysstwa „cywilów”, niemal lekko schodziło się jej ze schodów. Wrócić miała nimi po pięciu latach.

ZA „BOŻE CIAŁO”

SPOKOJNIE, a przy tym z godnością opowiada o tym, czego w ciągu tych lat pięciu miała doświadczyć:

— Doprowadzona zostałam do aresztu UB przy ul. Krótkiej. Moi „opieku-

nowie” pozostawili mnie na ławce stojącej na korytarzu, tu miałam czekać na przesłuchanie. Ze znajdującej się obok łazienki dochodziły mnie jęki — jak się domyślałam — straszliwie skatowanego człowieka. Zaszokowana tym co mnie spotkało, nie potrafiłam mu współczuć. Pragnęłam tylko jednego, ażeby jak najprędzej wzięli mnie na przesłuchanie i zwolnili do domu. Byłam pewna, że będą pytać o 27 Dywizję. Ale co mogą wiedzieć o mnie?

Po cudzie w lubelskiej Katedrze (lipiec 1949 r.), ciasno zrobiło się w areszcie przy Krótkiej. Ciągłe dowożono ludzi; zapchane były nie tylko cele w piwnicy, ale także sale na piętrach, korytarze, łazienki, nawet schody. Wtedy to przewieziona zostałam na Zamek. Przez chwilę tylko nacieszyłam się pięknym lipcowego dnia, bo zaraz po minięciu bramy, komenda: „twarzą do ściany!” Jako że byłam jedyną kobietą w tym transporcie spotkałam mnie ten „honor”, że pierwsza poprowadzona zostałam do celi. Gdy zamknęły się za mną drzwi, załamalam się: maleńkie, ciemne pomieszczenie, na piętrowych przyścianach i na podłodze mrowie kobiet. — Poderwały się na mój widok, bo ktoś nowy — atrakcja. Obskoczyły mnie, brudne, rozczochrane, operujące odpowiednim słownictwem. Miejsce, które mogłam zająć wypadło koło beczki — „kibla”. Ale po niedługim czasie otwierają się drzwi, oddziałowa wola mnie z powrotem. Okazało się, że jestem elementem tak niepewnym, że moje niedoszłe koleżanki-kryminalistki, mogą być przeze mnie zdemoralizowane.

Prowadzona więc jestem do jednej z cel, nad którymi „opiekę” sprawuje Sąd Wojskowy (nie funkcjonowało wówczas pojęcie — więzień polityczny). Gdy byłam na schodach prowadzących w dół, dopadł mnie komendant więzienia, a iie dobrze pamiętam o nazwisku Huk. „A ty za co tu?” — bardziej krzyczy niż pyta. Ja: „za Boże Ciało”, bo tak to się przyjęło mówić. Najpierw puścił wyjątkowo obrzydliwą „wiązanekę”, a później kopnął mnie raz, drugi. Poleciałam na ścianę. Oddziałowa szybko otworzyła drzwi do celi, wpadłam tam jak po ratunek. Byłam podobno śmiertelnie blada, na pytanie „co się stało?” — nie potrafiłam wydusić słowa. Po raz pierwszy w życiu tak byłam upodlona. Współwięźniarki zajęły się mną troskliwie, zaczęły mnie uspokajać, pomogły przysiąść do siebie. Były to przeważnie wiejskie kobiety, odsiadujące wyroki od 3 do 5 lat z paragrafu tłumaczonego: „wiedział — nie powiedział”, to znaczy nie doniósł władzy. Opowiadała mi jedna z nich, że akurat była na podwórzu, gdy przechodził jakiś młody człowiek. Zapytał o drogę do pobliskiej wsi, wskazała mu. Wkrótce było UB, zabrał ją. „Za pomoc bandytom” skazana została na 3 lata.

Sledztwo w mojej sprawie nie było zakończone. Groziło mi przeniesienie na IV oddział — bo na razie znajdowałam się w celi przejściowej — i bicie. Zgłosiłam się więc do lekarza, mówiąc szczerze o swoich obawach, dodając, że prawdopodobnie jestem w ciąży. Po zbadaniu potwierdził moje przypuszczenie: faktycznie, miałam zostać matką. Choć jeszcze — zgodnie z więziennym regulaminem — kwalifikowałam się na oddział, skierował mnie do więziennego szpitala. Aż do samego końca okazał się być bardzo przyzwolonym człowiekiem, dlatego z wdzięcznością wymieniam jego nazwisko — doktor Hans.

LUDZIE I ZWIERZĘTA

SZPITAL tworzyły dwie wydzielone cele, w każdej znajdowało się pięć łóżek. O ile na Zamku normalnie karmiono suszoną kapustą, obierkami z kartofli, wywarem ze zboża zwanym kawą, tu dostawałam nadająca się do zjedzenia zupę, kaszę, kawałek masła, nawet mięsa. Z kobiet, które przewinęły się przez szpital, najbardziej zapamiętałam prostytutkę aresztowaną „za Katedrę”. Ponieważ była na Zamku nie pierwszy raz, wiedziała jak się „ustawić”. Zaraz po przewiezieniu zgłosiła się do lekarza, mówiąc że jest w ciąży. Ten, znając jej „zawód”, nawet bez badania skierował ją do szpitala. Opowiadała nam, w jaki sposób tym razem trafiła na Zamek.

— Jak po cudzie w Katedrze naaresztowali ludzi, to tłum się zebrał i poszliśmy pod komendę na Zieloną. No i krzyczymy: „wypuście ludzi!” Ja

W CELI I WIĘZIENNEJ PORODÓWCE

Zbigniew Miazga

z żoną zdaliśmy uciec. Przez wiele dni w całym Lublinie trwały aresztowania.

Alicja Karłowicz: — Pod wrażeniem tego wszystkiego napisałam dwa listy, jeden do koleżanki z Gdańska, drugi do znajomego z Torunia. Jak każde dobre obyczaj, podałam swój adres zwrotny. Po dziewięciu dniach, przed północą, zastukało do naszych drzwi dwóch cywilów. Po sprawdzeniu naszych personaliów, kazali mi ubrać się (już spałam) i iść z nimi. Na pytanie o co chodzi, powiedzieli tylko: później się wyjaśni.

Leon Karłowicz: — Zanim wyszli, zrewidowali cały dom. Szczególnie interesowały ich książki, listy, zdjęcia. Kilka zabrali, resztę zwalili na środek pokoju. Na oknie leżał zeszyt, mój pamiętnik prowadzony jeszcze na Wołyniu. Żona zasłoniła go sobą myśląc, że, tak jak wielu w tym czasie, rozliczani będziemy z przeszłości...

DWUDZIESTA SIÓDMA

Pochodzą z Wołynia. On swoją wojaczkę rozpoczął jeszcze w oddziale samoobrony, a później przyszedł czas partyzantki. Po ogłoszeniu akcji „Burza”, gdy w lutym 1944 r. wydany został rozkaz o utworzeniu 27 Wołyńskiej Dywizji AK, kontynuatorami przedwojennej „27”, stał się żołnierzem. Walczył w rejonie Kowla, Włodzimierza, Lubomla.

Ona, jako siedemnastoletnia dziewczyna (1943 r.), trafiła na — zorganizowany przez samoobronę — kurs pielęgniarstwa. Po jego ukończeniu ujarzmiła tyfus w jednej ze wsi, później był szpital partyzancki, a z chwilą powołania dywizji — polowy. O ile bogata, choć krótka historia 27 Wołyńskiej Dywizji AK, ma swoich kronikarzy, którzy dali świadectwo heroicznych walk źle uzbrojonych i głodnych żołnierzy z Niemcami, to czeka jeszcze na swojego autora ów szczególnie udział w tej kampanii kobiet i dziewczyn: pielęgniarzek, sanitariuszek.

Słucham opowieści o szpitalu przemijającym na chłopskich furkach śladem dywizji, wynoszeniu rannych z pola bitwy. O jednej z wielu, podobnych tej operacji, gdy szansę na uratowanie żołnierskiego życia dawała tylko natychmiastowa amputacja nogi. Pod ostrzałem, przy pomocy noża, piły i siekiery, przeprowadzili ją dwie pielęgniarki. Bez środków znieczulających, bo po prostu ich nie było. I nie miały lekarstw. Dla tamtych dziewczyn nigdy nie było sytuacji ostatecznych; na zawołanie „sanitariuszki”, wyrastały choćby spod ziemi.

Pani Alicja na ten moment opowiada zdarzenie:

ków w rejon Lubartowa. Gospodarze kwater w Rudki Kijańskiej, Uścimowa, Głębokiego, Maśluchów i innych wsi podzielili się jadłem, wyłożyli przed nimi ubrania, buty, mydło. Znalazły się leki przeciwko przywleczonemu jeszcze z Wołynia tyfusowi. Do oddziałów zaczęli napływać miejscowi ochotnicy. W pojedynczych akcjach gromiono Niemców, między innymi pod Kockiem i Firlejem. Gdy przewalał się front 27 Wołyńska Dywizja AK gotowa była do dalszych walk z Niemcami. W kierunku Wisły chcieli iść przed — co podkreślano — Armia Czerwona, a nie podążać za linią frontu.

NA 25 lipca 1944 r., w okolicach Skrobowa, zarządzona została defilada całej dywizji, po której miał się odbyć wymarsz na front.

Mówi Leon Karłowicz:

— Gdy już bataliony ściągnęły z miejsc swojego postoju, rozeszła się pogłoska, że zostaniemy rozbrojeni. Nie dawaliśmy temu wiary. Ale gdy weszło słońce, otaczały nas sowieckie czołgi i oddziały z bronią maszynową wycelowaną w naszym kierunku. Podszedł dowódca naszego oddziału, powiedział, że musimy złożyć broń. Podjęta przez „Jastrzębia” próba wyrwania się z okrażenia — wtedy zrozumiałem co oznaczała nocna strzelanina — dowiedla, że nie mamy innego wyjścia.

ROZBROJENIE

To była straszna chwila, najtragiczniejsze z przeżyć w tej wojnie. Na placu zaczęła wyrastać sterta broni. Każdy, który podchodził, z trzaskiem rzucał karabin, krwawo zdobyty, z którym miał dojść nad Wisłę i dalej. Już jako gromada cywilów odeszliśmy do lasu, pokładaliśmy się na ziemi, najpierw tylko ramiona drgają, później słychać było szloch i spazmy. Oszołomieni, zaszokowani przeleźliśmy całą noc. A o świcie wyruszyliśmy zwartą kolumną, prowadzeni jeszcze przez naszych dowódców, w kierunku Lublina. Uszliśmy jednak raptem parę kilometrów. W miejscowości Tartak zatrzymali nas Rosjanie i dali polecenie rozzejścia się. Część tej gromady cywilów poszła za Bug do swoich rodzin, inni wrócili do gospodarzy, u których niedawno kwaterowali, większość jednak, małymi grupkami, ruszyła w stronę Lublina.

Wśród tych ostatnich była — znająca się wówczas tylko przelotnie — para moich rozmówców. Wraz z podobnymi im zaczęli układać sobie skromne życie, korzystając ze stolówki zorganizowanej przez niezapomnianą do broci panie — Grygową i Machlową,

też krzyczą. Ale czuję, że ktoś stoi za mną i nawet gęby nie otworzy. Oglądam się, jakis mężczyzna. To ja do niego: „ty, taki, a czego nie krzyczysz?” On wyciąga legitymację i mówi: „Widzisz? Chodź za mną...” Ale przecież mnie nie posadzą, bo jakby to? Prostytkę za Katedrę?

Pełną tej wiary wybierała się na rozprawę. Zebrała grypsy („Bo nie znaczy, że jak prostytutka, to nie Polka”), które jeszcze tego samego dnia, zaraz po zwolnieniu, obiecała dostarczyć do naszych domów. Wróciła wieczorem, z wyrokiem 3 lata, rzeczywiście nie „za Katedrę”, lecz za obrazę władzy. „Jej” ubek okazał się pamiętliwy, pojawił się na rozprawie. Następnego dnia przyznała się lekarzowi, że nie jest w ciąży. Zaraz zabrano ją na oddział. Ale to jeszcze nie koniec jej historii.

Wkrótce, trzeba trafu, przyprowadzili do naszej celi niby-Czeszkę. Mówiła, że ma na imię Mery. Od razu wydała mi się jakaś niesympatyczna, izolowała się od nas, patrzyła jakby z wyższością. Kiedyś szpital był na spacerze. W tym czasie „nasza” prostytutka, jako że było po obiedzie, wynosiła z oddziału kotły. Spojrzała na „Czeszkę” i nagle zaczęła strasznie krzyczeć, ale tak niesamowicie, że oddziałowej klucze wypadły z ręki. I woła: „Natychniast śledczego, natychniast śledczego!” Gdy przyszedł śledczy, ona, pokazując na „Czeszkę”, mówi: „To jest kapo z Majdanka! Ona mi oko wybiła”. Rzeczywiście miała szklane oko. W czasie śledztwa, a później rozprawy, potwierdziło się. Kapo dostała wyrok śmierci, prostytutce darowali karę.

I takie to było życie na Zamku, zdawały się śmieszne historie, ale części smutne i tragiczne.

Zabrana zostałam na kolejne przesłuchanie na IV oddział. Śledczy kazał siadać i zaczyna od obrzucania mnie stekiem wyzwisk. Śledzę spokojnie i patrzę na niego. Doprowadziło go to do szału. — „Czego siedzisz, czego milczysz, dlaczego się nie obrażasz?” — krzyczy. — „Ja — odpowiadam spokojnie — nie rozumiem tego co pan do mnie mówi”. Rzeczywiście nie znałam tego słownictwa. Na to on: „Won, na korytarz!” Wyszedłam. Akurat z przesłuchania prowadzili katedralnych księży. Starszy z nich wyglądał normalnie, młodszy, prawdopodobnie wikary, miał zmasakrowaną twarz, ledwo ciągnął nogami. Strażnicy mieli przykazane, żeby więźniowie, szczególnie w takiej sytuacji, nie spotykali się na korytarzu. Jeśli już mieli się mijać, jeden z nich musiał stać twarzą do ściany. Prowadzący księży „klawisz” zastukał do mojego śledczego i wskazując na mnie, powiedział: „widziała...”

Ale też doświadczyłam ludzkiej życzliwości. Pielęgniarka z kobiecego oddziału mówi kiedyś: „Pani mąż stara się przez prokuraturę o widzenie. I o to, ażeby otoczyć panią lepszą opieką, bo wie, że pani jest w ciąży”. Jak to podniosło mnie na duchu, że ktoś o mnie myśli, że ktoś inny mi to przekazuje. Tę pielęgniarkę zastąpiła wkrótce inna, którą, wbrew jej woli, odelegowano na Zamek. Chodziła cała przerażona. Kiedyś, drzącym głosem, wyszeptala mi do ucha: „Co będę mogła, to pomogę. Ja też jestem z Kowla, a pani ciocia była moją przyjaciółką”. Tak szybko odeszła, że nie do wiedziałam się już, skąd ona wie o moim kowelskim pochodzeniu. A to jej pomaganie polegało na tym, że od lekarza otrzymała dla mnie zgodę na spacer po szpitalnym korytarzu. Miało to ten plus, że mogłam sama pójść do łazienki, umyć się.

GY zaczęły się bóle, zawieziona zostałam do porodówki w szpitalu UB, przy ul. Spokojnej (dziś 22 Lipca). Pierwszą wrażenie jak najgorsze. Dostałam „swojego” milicjanta, który oka że mnie nie spuszczał. Położną proszę o szklankę wody, a ona mówi, że nie ma czasu. Męczyłam się bardzo, wreszcie zaczął się poród. Dziecko, ku mojej rozpaczy, nie dawało znaku życia. Ale w szczęście zjawil się człowiek, przywołył, doktor Mietkowski: zastrzyk, zimna i gorąca woda, bicie. I słyszę, że mój synek łapie oddech. Był 24 lutego 1950 roku.

I świat jakby się dla mnie odmienił. Owa niesympatyczna położna przychodzi na następny dyżur, i to już nie ta sama kobieta. Przynosi mi dziecko

do karmienia, kładzie bet i pokazuje, żebym sięgnęła do środka. Wkładam rękę, a tam kartka. Schowałam ją, bo przecież milicjant siedział obok. Gdy skończyło się karmienie, poszłam do ubikacji i czytam: „Byłam już u pani w domu, zawiadomiłam, że się urodził syn. Proszę mi wybaczyć moje zachowanie, nie wiedziałam z kim mam do czynienia”. Okazało się, że gdy swojemu mężowi powiedziała, że przywieźli taką to a taką, z Zamku, ten domyślił się, że to chodzi o mnie, jego współpracownicę ze Zjednoczenia Energetycznego. A gdy przyszli do mnie — wreszcie — mąż i matka, nawet sprzątaczką robiła wszystko by „wykołować” pilnującego mnie milicjanta, ażebyśmy mogli swobodnie porozmawiać. Natomiast dla pacjentów-ubeków, byłam tylko „tą więźniarką”. Miałam nadzieję, że z porodówki wrócę do domu. Niestety, nie pomogły mężowskie starania. Po pięciu tygodniach znów byłam na Zamku. Przetłama to strasznie.

Na Zamku była cęła matek, ale z nieciekawym towarzyszem. Uproszony doktor Hans skierował mnie na oddział szpitalny. Panie z celi matek nie mogły tego przeboleć. Jak to „polityczna” ma mieć lepiej, niż one, zwykłe kryminalistki? No i zaczęły jakaś robotę, jak się okazało — skuteczną. Już pierwszego dnia miałam podpadkę. Na spacer zabrałam uprane pieluchy. W momencie, gdy zaczęłam je wieszac na „koszach” (metalowe osłony okienne — Z.M.), podeszła do mnie oddziałowa. Wywiązał się krótki dialog: — „Natychniast zdjąć to!” — „A gdzie mam je wysuszyć?” — „Co mnie to obchodzi, jak wy się do mnie odzywacie?” I raport, a w konsekwencji wstrzymanie widzeń i paczek przez trzy miesiące.

Dużo dzieci znajdowało się w naszej celi, choć stan był płynny. Dochodziły bowiem kobiety ze wsi, odsiadujące wyrok za nieoddany kontyngent. Po miesiącu, dwóch, trzech zwalniano je i pojawiały się następne. Ale była jedna matka, która siedziała z dwuletnim dzieckiem, urodzonym na Zamku.

Wreszcie na 31 września 1950 r., po piętnastu miesiącach śledztwa, wyznaczony został termin mojej rozprawy. Jedynym dowodem przedstawionym przez oskarżyciela były owe nieszczesne listy. Skoro je napisałam — tłumaczył — musiałam być uczestniczką zajęcia. Natomiast nazywając UB i milicję „tymi draniami”, obraziłam władzę. Wojskowy Sąd Rejonowy podzielił ten pogląd. Wyrok brzmiał: pięć lat.

Gdy syn ukończył półtora roku, oddałam go mężowi. Byłam pełną obaw, jak poradzi sobie z dzieckiem. Ale późniejsze choroby syna, nie opuszczające go zresztą do dziś, uświadomiły mi, że i tak za długo „odsadywałam” ze mną na Zamku.

Po oddaniu dziecka przeniesiona zostałam na oddział kobiecy i skierowana do pralni. Wtedy znów moją sympatię, a nawet szacunek, zyskały... prostytutki. Już wyjaśniam dlaczego. Trzymała się blisko mnie harcerka z tzw. sprawy zamojskiej, 18-letnia, delikatna i subtelna dziewczyna. Nasza droga do pralni prowadziła koło „panienek”. Ich „szefowa”, gdy tylko zobaczyła nas, krzyczała do swoich: „Zamknijcie teraz mordy, bo idzie pani Karłowiczowa z Danusią. Zebym ja nie słyszała żadnej mać i tamtej innej...” I w tym momencie stawali mi przed oczami panowie oficerowie z ustami pełnymi plugastw.

Po miesięcznej karierze więziennej praczki, wywieziona zostałam z Zamku do Zakładu Karnego w Grudziądzu.

POD świadectwem zwolnienia Alicji Karłowicz z grudziądzkiego więzienia widnieje data: 25 VI 1954 rok. Nie darowano więc jej ani jednego dnia kary. Tak jak i nie darowane jej były późniejsze upokorzenia. Wtedy, gdy szukała pracy (ostatecznie znalazła ją w gospodarstwie Technikum Pszczelarskiego w Pszczeliej Woli, gdzie uczył już mąż), jak i wtedy, gdy wrócić chciała do życia, o którym mówi się — normalne, a z którego wykreślono jej pięć pełnych lat.

MEDALIERSTWO EWY OLSZEWSKIEJ-BORYS

Henryk Wojtulewicz



Stanisław Witkiewicz (Witkacy) 1985, (awers)

ARTYSTKA ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Studiowała pod kierunkiem znanych pedagogów: Alfreda Jesiona, Franciszka Strynkiewicza i Tadeusza Łodzian. Tajniki sztuki medalierskiej poznawała u znakomitej artystki i pedagoga — Zofii Dembowskiej. Zafascynowana formą małego reliefu, jakim jest medal i moneta, została jej wierna do dziś, osiągając wysoki poziom artystyczny.

W 1974 roku otrzymała stypendium rządu francuskiego, co umożliwiło jej pogłębienie umiejętności ręcznego grawerowania w stali negatywnych matryc medali w słynnej École des Beaux Arts w Paryżu, pod kierunkiem wybitnego profesora Raymonda Corbin.

Obok licznych medali artystka zaprojektowała i wykonała ponad 15 stempli do monet PRL, zrealizowanych w mennicy państwowej w Warszawie. Widnieją na nich piękne wizerunki Marii Konopnickiej, Janusza Korczaka, Władysława Sikorskiego i Henryka Wieniawskiego. Do numizmatycznej serii królewskiej artystka stworzyła portrety Kazimierza Odnowiciela i Bolesława Śmiałego. Jest również autorką kilku interesujących projektów do serii numizmatycznej zwanej „Ochrona środowiska”.

Artystka tworzy medale bite i lane. Wśród tematów, przewijających się w twórczości medalierskiej Ewy Olszewskiej-Borys, najbardziej fascynuje portret. Tak wypowiada się o nim artystka: „Portret to temat, który zobowiązuje, to prawda o człowieku. Ale współczesny artysta, poszukujący jej, jest przede wszystkim sobą. Zachowuje swoją indywidualność, niezależnie od

tego, czy tworzy z wewnętrznej potrzeby. Lecz prawda o człowieku to nie tylko jego wizerunek. I tu przed medalierem otwiera się możliwość dopowiedzenia samego wizerunku przez umiejętne wykorzystanie rewersu, stanowiącego integralną część reliefowej kompozycji, jaką jest medal. Działanie portretu zależy od zawartego w nim ładunku emocjonalnego, wyrażającego stosunek artysty do tematu, jak też od umiejętności dostrzegania i wyrażania przy pomocy środków plastycznych również i pozafizycznych struktur ludzkiej osobowości, ponieważ podobieństwo w portrecie nie polega na samym naśladowaniu i przenoszeniu w kategorii sztuki kształtów istniejących w naturze”.

Ewa Olszewska-Borys jest artystką wysokiej klasy. Prezentowała swoją twórczość na licznych wystawach krajowych i za granicą. M. In. w Barcelonie, Budapeszcie, Bukareszcie, Florencji, Helsinkach, Kopenhadze, Leningradzie, Lizbonie, Mediolanie, Moskwie, Monachium, Paryżu, Sofii, Sztokholmie i wielu innych ośrodkach i stolicach świata. Jest laureatką wielu nagród i wyróżnień. Dzieła jej znajdują się w zbiorach krajowych i zagranicznych.

Niezależnie od twórczości artystycznej, Ewa Olszewska-Borys zaangażowana jest w propagandę i popularyzację współczesnego polskiego medalierstwa za granicą. Od 1983 roku jest delegatem Polski w Międzynarodowej Federacji Medalierstwa FIDEM i w USA, zrzeszającej najwybitniejszych artystów tej dyscypliny sztuki z kilkudziesięciu krajów świata. Od 10 lat pełni artystka w tej międzynarodowej organizacji funkcję wiceprezydenta.

Fot. Piotr Maciuk



Michał Anioł Buonarroti, 1975, (awers)



Fryderyk Chopin — Grand Prix du Disque, 1985, (awers)

KIEDY ciało Imre Nagy'a owinięte w papę i związane koleczastym drutem wrzucano do nieoznakowanego grobu parceli nr 301 na budapeszteńskim cmentarzu przy ulicy Kozma, nie pamiętano, że gwałt zadany pamięci ma krótki żywot i długotrwałe konsekwencje. Raz ujawniony budzi tym żywsze reakcje, im bardziej był bezzasadny. Niedawny, manifestacyjny pogrzeb przywódcy węgierskiego powstania z 1956 roku stanowił catharsis powojennego losu narodu; okazał się symbolem nowego, węgierskiego czasu, czasu, który dla całej Europy, a może i dla świata biegnie jakby coraz szybciej.

Kiedyś Zsolt Zsebesi, korespondent węgierskiej agencji prasowej MTI powiedział mi, że różnicę między WSPR a PZPR dostrzega przede wszystkim w tym, iż partia węgierska bardziej wnikliwie niż nasza wsłuchiwała się zawsze w odczucia narodu, reagowała w chwili, gdy burza dopiero się zbierała, a nie po jej wybuchu. (Można by się z tym zgodzić aż do obrad X Plenum KC PZPR). Stąd brak na Węgrzech permanentnych kryzysów i długi, ponad trzydziestoletni żywot polityczny Janosa Kadar'a i jego ekipy.

W 1968 roku zainicjowano głęboką reformę gospodarczą, której zbyt pochopne zaniechanie okazało się błędem dotkliwym, ale Węgry mimo to zachowały ciepłe stosunki z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, z EWG, z Bankiem Światowym, nigdy też nie utraciły amerykańskiej klauzuli najwyższego uprzywilejowania. Sądzę wszakże, że owa elastyczność w twardej oprawie pragmatyzmu miała swe korzenie właśnie o owej tragicznej październikowej lekcji. Dzisiaj

coraz głośniejsze podaje się w tysiącach liczbę ofiar radzieckiej interwencji z 1956 roku.

Jeden z czołowych węgierskich polityków stwierdził ostatnio wprost, iż „Węgry przynależą do Zachodu i tylko czasowo zostały siłą przypisane Wschodowi”. Nic więc dziwnego, że Węgry pierwsze pochwytyły szansę powstałą z narodzin gorbaczowskiej strategii nowego myślenia. Ich historyczna i etniczna przynależność do zachodniej hemisfery, a także „bezpieczne” usytuowanie geopolityczne (na obrzeżach bloku) stanowiły całkiem szeroką kładkę, mogącą stanowić w

miennymi, jak się wydaje, celami strategicznymi — to tempo i jakość przeobrażeń. Nie ulega wątpliwości, że nasz eksperyment dokonuje się z udziałem większego ryzyka, bardziej żywiołowo i pospiesznie. I tutaj uwaga węgierskiego dziennikarza traciłaby swą aktualność.

Z drugiej jednak strony, przemiany nad Dunajem wydają się znów bliższe mądrości przed szkodą, niż po niej. Jeszcze pod koniec ubiegłego roku Karolyi Grosz zdecydowanie odrzucił w Waszyngtonie ideę wielopartyjności na węgierskiej scenie politycznej; jeszcze przed kilkunastu tygodniami jedno-

gedią” miał powiedzieć tygodnikowi „Magyarország” Janos Kadar.

To fakt, że Węgrów nie pogania widmo gospodarczej katastrofy, że napięcia społeczne nie czają się za każdą decyzją ekonomiczną, ale Węgrów także nie żyje się lekko. Niecierpliwość wzrasta i wprost proporcjonalnie wzrastają obawy. Większość ludzi nie lęka się jednak przewrotu niechętnych reformom „twardogłowych”. Częściej słyszy się obawy o utratę kontroli nad smakowaniem wolności. Kalman Kulcsar, minister sprawiedliwości mówi: „Naród może pochwytyć demokratyczne wolności z takim zapalem, że wybierze w efekcie rząd zbyt słaby, by mógł być efektywny. Może więc powtórzyć się sytuacja z Hiszpanii, kiedy to po śmierci Franco, w ciągu niemal jednej doby powstało ponad sto pięćdziesiąt partii. Władza była tak rozdrobniona, że kraj nie był w stanie zorganizować wyborów. Należy także brać pod uwagę krwawą przeszłość Węgier. Od połowy dziewiętnastego wieku, czterestu premierów zostało bądź zamordowanych, bądź skazanych na wygnanie”. Obawy te mogą wydawać się zbyt dalekosieżne, uczucie niepokoju jest jednak w kraju wyraźnie dostrzegalne.

ŚWIAT WOKÓŁ NAS WĘGRY

Wiesław Horabik

przyszłości załóżek mostu wiodącego do Stanów Zjednoczonych Europy. O tym, że Węgry zwracają do tej koalicji „austriackimi drzwiami” mówi się już od dawna. Kilka tygodni temu ministrowie spraw zagranicznych Węgier i Austrii dokonali symbolicznego przecięcia szkieletów granicznych dzielących dotąd oba państwa.

Cele polityczne obecnych przemian na Węgrzech i w Polsce są identyczne. demokratyzacja życia, poszerzenie społecznej bazy rządzenia (poprzez dopuszczenie do legalnej działalności opozycji), ustanowienie nowego ładu ekonomicznego, opartego na zasadach wolnego rynku. To, co odróżnia wszakże te dwie drogi reform — poza od-

znaczna ocena wydarzeń z 1956 roku nie była gotowa, jeszcze kilka miesięcy temu Janos Kadar pełnił funkcję honorowego przewodniczącego partii. Węgierski „okrągły stół” zaczął się później niż nasz i, jak dotąd, odbył zaledwie jedno posiedzenie. Wybory planowane są dopiero na początek przyszłego roku, nad nową konstytucją WRL trwają żmudne prace. A jednak mimo tych faktów Praga i Berlin (wschodni, rzecz jasna) zaniepokojone są „groźbą wyprzedzają socjalizmu” właśnie na Węgrzech.

Zmiany węgierskie mają bowiem charakter bardziej systemowy. Wybory, w pełni wolne, ustawa zasadnicza oparta na Konstytucji USA i francuskiej deklaracji trójpodziału władzy, partie polityczne, a nie stowarzyszenia bądź niejasny status na wpol związku zawodowego i na wpol ruchu społecznego, wołanie o nadzwyczajny zjazd partii i rokowania ze Związkiem Radzieckim o nową jakość stosunków gospodarczych (wymiana handlowa oparta na twardej walucie). Słowem: choć mniej spektakularne, są węgierskie reformy o wiele bardziej radykalne.

LUDZIE, którzy przyszli 16 czerwca oddać ostatni hold prochom Imre Nagy'a na Placu Bohaterów znaleźli się tam również po to, by wskrzesić jego ducha. Każdy z zabierających głos mówców identyfikował się z idealami, dla których były premier oddał swe życie. Miklos Vasarhelyi, były sekretarz Imre Nagy'a, powiedział: „Zamknęliśmy oto raz na zawsze tragiczną, bolesną epokę, aby otworzyć nowy rozdział w historii naszego narodu”. Demokracja, neutralność i narodowa suwerenność to hasła uwidocznił na wielu transparentach niesionych przez tłum. Węgierskie władze potraktowały pogrzeb Nagy'a jako ważny krok w kierunku narodowego porozumienia. „Nie można posuwać się naprzód bez rozliczenia się z przeszłością” argumentował Imre Pozsgay. „Tragedia Imre Nagy'a a jest moją osobistą tra-

Okres „kadarowski” można by nazwać okresem „lukrowanej stagnacji”. Ulice Budapesztu, wielkoświatowy rytm życia tego miasta stwarzały wrażenie, że węgierska gospodarka funkcjonuje sprawnie i ludzie żyją w dobrobycie. Był to jednak dobrobyt selektywny, że wciąż rosnącym marginesem ludzi ubogich i ekonomicznie dyskryminowanych. Strategia gospodarcza państwa ograniczała się do wypelniania półek sklepowych towarami, odgradzając je coraz bardziej od konsumenta barierą wysokich cen. Stosunkowo duży zakres swobód indywidualnych usypiał konieczność dynamizowania publicznego życia. Błędy w polityce gospodarczej Węgier w ostatnich latach były podobne do tych, jakie u nas popełniono za Gierka. Kredyty przeznaczano nie na modernizację przemysłu, lecz na nowe inwestycje (tzw. inwestycje zielonych pól), nie zakupywano także całych ciągów technologicznych, lecz jedynie ich części. Pozory wysokiego standardu życia zachowywano dzięki od dawna funkcjonującym na Węgrzech elementom wolnego rynku oraz eksportowi skierowanemu na Zachód (około 50 proc. globalnego eksportu Węgier). Ostatnie pęknięcia w pozornym monolocie węgierskiej gospodarki stały się już jednak zbyt niebezpieczne.

Poziom nadziei węgierskich jest bodaj wyższy niż naszych. Jest w nich miejsce na entuzjazm świeżo dokonanego rozrachunku. Cień Października rozciągał się jak dotąd gniewem nad węgierskim życiem. Dziś jakby niebo stało się jaśniejsze. To powód do optymizmu.

Na Placu Bohaterów starsza kobieta przestała w kolejce trzy godziny, by złożyć różę na trumnie Imre Nagy'a. „Od trzydziestu jeden lat nie wolno nam było składać kwiatów na jego grobie — powiedziała. — Teraz możemy powiedzieć otwarcie, że to on miał rację. To niewątpliwie źródło nowej wiary”.

EK EXBUD

CENTRUM KOOPERACJI MIĘDZYNARODOWEJ
EXBUD
ul. Manifestu Lipcowego
KIELCE
telefon — 31-20-94

ZATRUDNI DO OBSŁUGI PRZEDSTAWICIELI
FIRM ZAGRANICZNYCH
w Zespole Hotelarsko-Gastronomicznym

z biegłą znajomością języka angielskiego lub niemieckiego:

- 1) kierownika zakładu gastronomicznego oraz hotelarskiego,
- 2) kelnerów,
- 3) recepcjonistów ze znajomością stenotypii

oraz

- 1) szefa kuchni,
- 2) mistrza kucharskiego,
- 3) mistrza produkcji garmazeryjnej oraz cukierniczej.

Oferujemy atrakcyjne warunki pracy i płacy. Dla osób spoza Kielc zabezpieczamy miejsca noclegowe.

Oferty prosimy składać pod ww. adresem.

6285/K-2



OGŁOSZENIA DROBNE

KOMIS Górna 11. Telewizory, autoczęści, fotooptyka. Zapraszamy.

15856/G

ZAGRANICZNE oferty matrymonialne paniom, panom poleca „WENUS” skr. 27, 59-850 ŚWIERADÓW ZDRÓJ.

1/P-10

KOMUNIKAT

INSTYTUCJE, FIRMY, PRZEDSIĘBIORSTWA i OSOBY PRYWATNE informujemy, że ogłoszenia na naszych łamach są tańsze niż w innych tytułach pism wydawanych przez Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. Informujemy też, że „Relacje” są tygodnikiem, który sprzedawany jest nie tylko w regionie, ale także — przeciętnie co szósty egzemplarz — w całym kraju. Wynika z tych informacji, że ogłaszając u nas po pierwsze — oszczędzasz, a po drugie — docierasz ze swoim ogłoszeniem poza granice regionu.

Dla przykładu tylko podajemy, że 1 cm kwadratowy ogłoszenia handlowego, reklamowego itp. w tytułach gazet codziennych kosztuje 700 zł, a u nas — 500 zł; że za jedno słowo w ogłoszeniach tzw. drobnych płaci się u nas o 100 zł mniej. Pomyśl czy warto. Dojdiesz do wniosku, że tak — skorzystaj.

TV

CZWARTEK 13 lipca

Program I

8.50 Domator: 10 minut dla urody
9.00 Kino Teleferii: „Vasco de Gama ze wsi Rupca” (3) — serial prod. bulg.
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Urodziny” — komedia obycz. prod. ZSRR
16.45 Program dnia
16.50 Iskra do Anglii — wojskowy program dok.
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” (9) — „Rodzina, czyli obcy w domu” — serial TVP
18.30 Z wiatrem i pod wiatr — magazyn żeglarski
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Cypisek — syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Próba terroru” — film fab. prod. USA. Reż. Blake Edwards; wyk.: Lee Remick, Glenn Ford, Stephanie Powers
22.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 Pełgaz
23.05 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na lachy” — serial animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102”
19.30 „Świat roślin” (3) — „Dzieci jednej rodziny” — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Nie tylko muzyka: Wokół „Marsylianki”
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
22.00 Studio Teatralne „Dwójki”: Zygmunt Hübner: „Ludzie cesarza”. Reż. Marek Okopiński; wyk.: Jerzy Kiszka, Andrzej Szaciłło, Andrzej Nowiński, Krzysztof Gordon, Florian Staniewski

PIĄTEK 14 lipca

Program I

8.50 Domator: 10 minut dla urody
9.00 Zielone Teleferie
9.30 Kino Teleferii: „Ara-bella” — serial prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Weekend bez rodziców” — komedia obyczajowa prod. CSRS
16.10 Domator: Przed weekendem
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” (10) — „Pocztówka ze Spitsbergenu, czyli oczarowanie” — serial TVP
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 „Lato rewolucji” cz. 2 — film fab. prod. franc.
21.25 Kroniki PAT: Tak było...
21.40 Czas — magazyn publicystyczny

22.10 Józef Piłsudski — kalamburzysta liryczny
23.10 Dt — echa dnia
23.25 „Świat jak jest” (4) — „Wyrok na krążownik” — serial dok. prod. ang.

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
19.00 Konwój
19.30 „Dookoła świata” — „Od Zambezi do Limpopo”
20.00 Program rozrywkowy
20.50 „Antyczny świat prof. Krawczuka” — „Sennik Artemidora”
21.30 Paporama dnia
21.45 Filmy z Humphreym Bogartem: „Burliwe lata dwudzieste” — film fab. prod. USA. Reż. Raoul Walsh; wyk.: James Cagney, Priscilla Cane, Jeffrey Lynn, Gladys George
23.35 Komentarz dnia

SOBOTA 15 lipca

Program I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Telekino Teleferii: „Fraggles” — serial prod. ang. i „Szaleństwa panny Ewy” (3) — serial fab. prod. pol.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 „Śladami Odyseusza”: „Homer” — filmy dok. prod. franc.
13.05 Koncert laureatów II Młodzieżowego Festiwalu Piosenki — Sopot '89
14.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Mówi Chandler — „Blisko serca”
15.10 Komedia, komedia, komedia: „Pan Anatol szuka miliona” — prod. pol.
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Studio sport: Mistrzostwa Europy w woltżerze
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Barbarzyńca z palety” — film o Józefie Chelmońskim
18.05 Polityka, politycy: Ingvar Carlsson
18.30 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Cwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Koza
19.30 Dt
20.05 „Szuan” (1) — film fab. prod. franc.
21.30 Spotkanie ze Szwejkami (1): „Aresztowania pod Kielichem”
21.45 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzi-lorz
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.15 Miss Polonia '89 (1) — półfinał
23.25 Telegazeta — wiadomości w skrócie
23.30 Jutro w programie
23.35—0.55 Miss Polonia '89 (2) — finał

Program II

14.30 Bariery — problemy ludzi niepełnosprawnych
14.55 Powitanie
15.00 „5 — 10 — 15” — program dla dzieci i młodzieży
15.45 Małe kino: „Nemrik” — film dok. Józefa Gębskiego
16.15 Konwój
17.00 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” — odc. 11

pt. „Ojcowie i dzieci”
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Róża Montreaux — program rozrywkowy
19.30 Alfa i omega: Ostrożnie, słońce
20.00 „Eroica” pod batutą Jerzego Semkowa
20.55 Festiwal Piosenki Czeskiej i Słowackiej — Ustron '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauballon” (10) — serial fab. prod. luksembursko-francuskiej
22.40—22.45 Komentarz dnia

NIEDZIELA

16 lipca

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Powrót z Góry Czarownic” — film przyg. prod. USA
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Życie na planecie Ziemia” — odc. 6 (ostatni) pt. „Pustynie meksykańskie” — serial dok. prod. franc.
11.25 Kraj za miastem
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.40 Pałace polskie — film dok.
13.10 Marek Sierocki zaprasza
13.35 Laureaci '89: „Tajemnice naszych kwiatów” — film dok. Jana Walencika
14.05 Agromarket
14.55 Pieprz i wanilia. Nieznany kraj: Tu żyli Indianie
15.40 „Panna dziedziczka” (9) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.10 Studio sport: Mistrzostwa Europy w woltżerze — finały ćwiczeń indywidualnych
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Tajemnica Wiklinowej Zatoki
19.30 Dt
20.05 „Szuan” (2) — film fab. prod. franc.
21.05 Siedem dni: Świat
21.35 Sportowa niedziela
22.25 Kinomania: Elżbieta Czyżewska
22.55 Premiery po latach: „Dwójka bez sternika” — film dok. Roberta Glińskiego
23.20 Telegazeta — wiadomości w skrócie
23.25 Jutro w programie

Program II

9.55 „Szuan” (1) — film fab. prod. franc. (dla niesłyszących)
11.20 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
11.55 „Szuan” (2) — film fab. prod. franc. (dla niesłyszących)
12.55 Kawalerowie Krzyża Grunwaldu — wojskowy program dok.
13.25 Jutro poniedziałek — magazyn spraw codziennych
13.55 Powitanie
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Aktualności kulturalne: Spotkanie we Lwowie
15.05 „Polacy” — film dok.
15.55 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Zbliżenia — czyli to i owo o filmie
17.00 Konwój
17.30 Bliziej świata — przegląd telewizji satelitarnych
18.45 Rzecznik praw obywatelskich, prof. Ewa Łętowska — program Ireny Dzie-dzic

19.30 Muzyka Chopina w Żelazowej Woli
20.00 Studio sport
21.00 Festiwal Piosenki Czeskiej i Słowackiej — Ustron '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny” — odc. 18 (ostatni) serialu fab. prod. USA
22.35 Komentarz dnia
22.40—22.50 Futurologia na dobranoc

PONIEDZIAŁEK

17 lipca

Program I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” — serial obyczajowy TP
18.25 „Echa stadionów”
18.50 „Bez granic” — „Opera w pionie”
19.00 Dobranoc — „Gimnastyka jest dobra na wszystko”
19.10 „Gorąca linia” — publicystyka międzynarodowa
19.30 Dt
20.05 Spektakl na bis: „Tym razem żegnaj na zawsze”, Scen. i reż. Barbara Borys-Damięcka, wyk.: Joanna Szczepkowska, Wojciech Wysocki, Cezary Morawski, Piotr Fronczewski, Edmund Fetting i inni.
22.30 Kroniki PAT — Tak było...
22.05 „Ona przyszła prosto z chmur” — recital zespołu „Budka Suflera”
22.50 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Czarne na białym” — przegląd PKF
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: o śmieciach, postaciach, pomarańczach
19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
19.30 „Zycie muzyczne” — IV Warszawskie Spotkania Muzyczne — maj 1989
20.00 „Teletrans”
20.30 „Osądźmy sami”
21.15 „Zamyślenia” — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 I Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzystwa — Modlin '89
22.10 Biografie: „Donald Sutherland — odpowiedź mi szczerze” — film dokumentalny prod. kanadyjskiej
23.05 Komentarz dnia

WTOREK

18 lipca

Program I

8.50 Domator — witaminy w słoiku
9.00 Teleferie: „Wakacje z lkarem”
9.30 Kino Teleferii: „Dziewczyna pirat” (5) — „Wielki rejs” — serial prod. NRD
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Moja kuzynka Rachela” (1) — serial prod. amerykańsko-angielskiej
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TP
18.35 „Radar” — Wojskowy magazyn filmowy
18.50 „Bez granic” — „Szkarałta woda”
19.00 Dobranoc — „Przygody Bączka i Pączka”
19.10 „Stop” — Telewizyjny Klub Konsumenta

19.30 Dt
20.05 „Moja kuzynka Rachela” (1) — serial produkcji amerykańsko-angielskiej; reż.: Brian Fernham, wyk.: Geraldine Chaplin, Christopher Guard i in.
21.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 „Wokół wielkiej sceny” — magazyn operowy
22.20 Hajnówka — portret miasta
22.50 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.35 „Wojna domowa” (10): „Zagraniczny gość” — serial TP
19.30 „Blisko nieba” — Na skrzydłach
20.00 VIII Światowy Festiwal Polonijnych Zespołów Folklorystycznych — koncert inauguracyjny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Królewskie polowanie na słońce” (1) — film historyczny prod. USA, reż. Irwing Lerner, wyk.: Robert Shaw, Christopher Plummer i inni.
22.40 Studio Solidarność
23.25 Komentarz dnia

ŚRODA

19 lipca

Program I

8.50 Domator — witaminy w słoiku
9.00 Teleferie najmłodszych — „Zgadywanie na ekranie”
9.30 Kino Teleferii: „Piaskowy stworek” — „Chcemy skrzydła” — film prod. czechosłowackiej
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Dobra passa” — film prod. radzieckiej, reż. Jewgienij Gierasimow, wyk.: Siemion Morozow, Aleksander Majorow i inni
16.40 Program dnia
16.45 Losowanie Ekspres i Super Lotka
16.55 Telewizyjny Informator Wydawniczy
17.15 Teleexpress
17.30 „Czterdziestolatek” — serial TP
18.30 „Z wiatrem i pod wiatr” — magazyn żeglarski
18.50 „Bez granic”
19.00 Dobranoc — „Kolorowy świat Pacyka”
19.10 „Bocznymi drogami” reportaż Krzyszłofa Trzpiła
19.30 Dt
20.05 „Cudzoziemka” — film fab. prod. polskiej, reż. Ryszard Ber, w roli głównej Ewa Wiśniewska
21.45 Kroniki PAT — Tak było...
22.00 „Spojrzenia”
22.30 Dt — echa dnia

Program II

17.55 Program dnia
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
19.00 „Tokyo Music Festival” (3)
19.30 „Nikaragua” — program dokumentalny
20.00 „Ekokonwersacja, czyli skorzystać z szansy” — program publicystyczny
20.25 Arie baroku — śpiewa Wanda Bargielowska
20.55 „Z ziemi polskiej” (3) — „Za chlebem” — reportaż Andrzeja Chłtewskiego
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie” (29) — serial TP
22.15 „Telewizja nocą”
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciodek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlużuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepien (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacja o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1079 30.06.89 r. B-4

TEMAT Z MYSZKĄ

Hen Spider

JEST szansa, że doczekamy się wreszcie prasy niezależnej. Zastanawiamy się więc dwa rodzaje pism: zależne i niezależne. Niestety, obawiam się, że będą wtedy nadal zależne, a co gorsza — zależne podwójnie. W pierwszej kolejności będą zależne od swoich drużyn i trenerów, a w drugiej od swych — by nie rzec — przeciwników. Bo wtedy na wszystko co powie przeciwnik pozytywnie, trzeba odpowiedzieć zaprzeczeniem. Lepiej nie pisać nic, niż zgadzać się z adwersarzem.

Chiny mają ostatnio złą „prasę”, ale odważę się przywołać ich przywódcę Denga. Powiedział kiedyś, z tym chińskim upodobaniem do metafory, że nieważne jakiego koloru jest kot. Ważne by łapał myszy. Nie powinno być u nas, jakie sztandary zaopieczą nad redakcjami oraz koncernami prasowymi, tylko to właśnie: skuteczność w łapaniu myszy, czyli pisaniu prawdy.

Gdyby kiedyś wpadł mi spadek po nieznanym dotąd wujku z USA, natychmiast zakładał własne pismo. Własne, a zatem niezależne od nikogo. Ma się rozumieć, od nikogo innego niż ja sam, jego założyciel, właściciel i sponsor. Dziennikarze podpisujący ze mną umowę o pracę nie będą chyba tak naiwni, by oczekiwać, że podejmują pracę w piśmie od nikogo niezależnym. Nie uznają mnie przecież za pracodawcę pozbawionego poglądów, przekonań, przyjaciół i wrogów, poczucia jakiegoś celu, a w końcu zwykłych ludzkich fobii i przywar. Możliwe, że z czasem dorobię się kilku pism, że powstaną z nich wielki koncern prasowy „Hen Spider and sons”, wspaniały okręt flagowy polskiej prasy niezależnej. Wtedy dopiero pokażę tym pektakom z prawa i lewa, tym obojnacom z centrum, co znaczy prasa prawdziwie niezależna!

Na razie powróćmy do rzeczywistości, czyli do świetlnych cytatów z

„wybitnych bolszewików czy raczej wczesnych komunistów. Jeden z takich wczesniaków, były sekretarz moskiewskiego komitetu partii F. Miasnik, przerażony szalejącą w młodym państwie korupcją, łapownictwem i nadużyciami bolszewickiej władzy, kropnął natchnioną broszurkę pt. „Bolesne pytania”. W konkluzji sekretarz stwierdza: „Jest u nas mnóstwo łajdactwa i nadużyć. Potrzebna jest wolność prasy, aby je demaskować”.

Broszurka wpadła w ręce Lenina. Po przeczytaniu tego elaboratu, ojciec Rewolucji Październikowej napisał prywatny list do tego nieposzlakowanego bolszewika G. Miasnika. W rów-

Czyli nie powołamy do życia tak zwanej wolnej prasy. Ciekawskich odsyłam po szczegóły do: Lenin, „Soczi-nienija”, t. 32, str. 479—480.

Nietrudno spostrzec, że riposta Lenina stała się po latach obowiązującym prawem prasowym w Polsce Ludowej. Było przez 40 lat oczywiste dla każdego, że kto żąda niezależnej prasy, ten popełnia samobójstwo polityczno-ustrojowe.

To złowieszcze przykazanie Lenina w ostatnich czasach zaczyna jakby tracić swą moc. Gołym okiem widać erozję tematów tabu. Jeżeli proces ten będzie się pogłębiał, to przewiduję ciężkie czasy dla prasy niezależnej. Bo jeśli nadejdzie dzień, że o wszystkim można będzie pisać, to co wtedy pozostanie dla prasy niezależnej? Czym będzie przyciągać klientelę? Może tylko niższą ceną pisma.

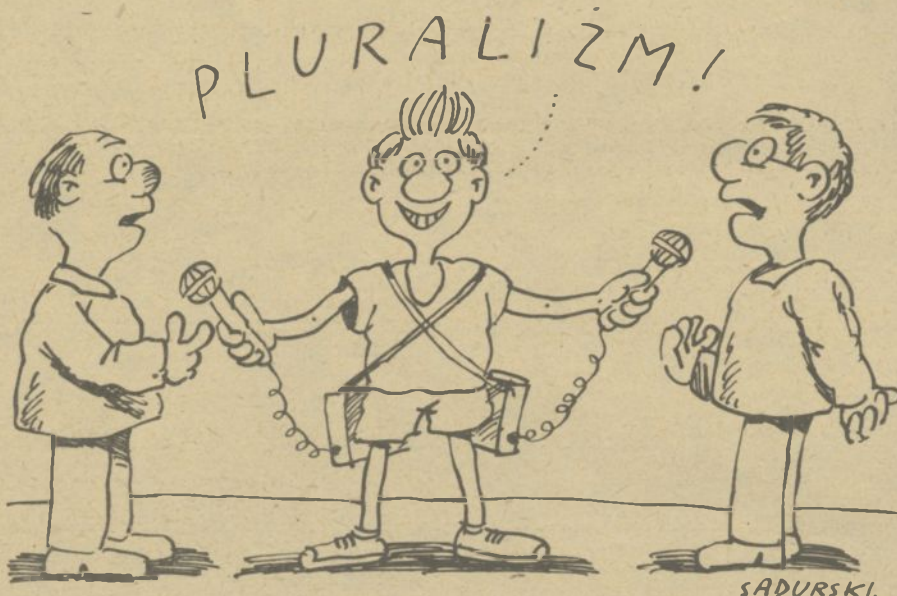
Alarmującym przykładem tej erozji wcale nie są tak zwane białe plamy. Teraz, po Katyniu, prawdziwie

konomicznych ze Związkiem Radzieckim. Ich symbolem jest tak zwany rubel transferowy, pieniądz którego nikt nie widział, nie dotknął. I...oto bardzo dawno temu, bo już w marcu br. „Życie Literackie” (gdyma życia literackiego, trzeba pisać o rublach), w artykule „Plama na czarnym złocie” oznajmia, że ów tajemniczy, nie istniejący realnie rubel transferowy „...nie ma nic wspólnego z rachunkiem ekonomicznym”. Jeszcze do niedawna za taką wypowiedź zmieniano się zawód dziennikarza na sprzedawcę warzyw, a teraz pisze o tym bez ingerencji cenzora!

Nazajutrz po tej wstrząsającej dla uważnego czytelnika sensacji, czytam w zakładowym piśmie Przedsiębiorstwa Przemysłu Siarkowego Tarnobrzeg — Grzybów („Siarka”, 7 III): „Wypowiedzi delegatów potwierdziły, że ponosimy wysokie straty z tytułu eksportu do I obszaru płatniczego. Te 24 miliardy, których nie otrzymujemy, to efekt niższej ceny za eksport do I obszaru płatniczego [...]. Tym bardziej ten eksport jest nieopłacalny, że gaz, jedno z mediów potrzebnych do produkcji, sprowadzamy z I obszaru, ale po cenach drugiego”.

Kilka tych zdań wstrząsnęło mną z nie mniejszą siłą, niż Katyń. Dlaczego, wzorem sprawy katyńskiej, nie powołuje się wspólnej komisji do zbadania rubla transferowego? Co na to prasa niezależna? Ta publikacja w jakiejś tam „Siarce” byłaby uznana przez Lenina za formalne wypowiedzenie sojuszu ekonomicznego.

Jeżeli prasa zależna będzie dalej „tak trzymać”, to grozi jej rewizjonizm, a w dalszej kolejności przejście do obozu prasy niezależnej. I co wtedy? Ano, pomaszkuje ramię w ramię, pod wspólnym sztandarem modnej socjaldemokracji (tej, która wywołała rewolucję lutową w Rosji), w świetlaną przyszłość prasy niezależnej.



Rys. Szczepan Sadurski

nie zdecydowanej konkluzji oznajmia: „Nie mamy zamiaru popełniać samobójstwa i dlatego nie uczynimy tego!”

białą, czy raczej czarną plamą, istną kosmiczną czarną dziurą, jest, na ten przykład, całość naszych stosunków e-

NIEKTORYM odjęło mowę: zawrotne ceny sprzedaży nie dawały szaraczkom żadnych szans. Co najmniej połowa osób uprawnionych do licytowania działek budowlanych, ściskając kurczowo swoje numerki, ani razu nie zrobiła z nich użytku.

„Ta licytacja przeszła nasze najśmielsze oczekiwania — mówi Józef Gąszczyk, dyrektor Wydziału Geode-

Każdy chciał być jak najbliższy licytatora.

Wystawiono do przetargu dwadzieścia jeden działek przeznaczonych pod budowę domów wolno stojących, szeregowych i bliźniaków. Warunkiem przystąpienia do licytacji było wpłacenie wadium w wysokości 10 procent ceny wywoławczej. Największe wynosiło 598 tysięcy zł. Prawo licytowania uzyskało prawie dwieście

kw., znajdujących się przy ulicy E. Szelburg-Zarembiny. Sprzedano je za cenę od 17 mln zł do 23 mln zł. Największe emocje miały dopiero nastąpić.

Wywołana została licytacja parceli pod dom mieszkalny i warsztat rzemieślniczy. Powierzchnia 1432 metrów kwadratowych, cena wywoławcza prawie sześć milionów. Pierwszy głos z sali — 10 mln zł, następny —

Przyszła kolej na Sławinek. Tu były tylko duże działki pod bliźniaki (408 metrów i 411 metrów); cena wywoławcza — 3 miliony 400 tysięcy. Pierwsza oferta — 10 milionów zł. Potem kolejno padały sumy: 12 milionów, 35 milionów, 42 miliony, 45 milionów. Wreszcie 48 milionów złotych po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci! Sąsiednia parcela została oddana taniej: za 40 milionów i 500 tysięcy zł.

Działki na Węglinie cieszyły się jeszcze większym popytem. Za 250-metrową działkę (o szerokości 6 m) przeznaczoną pod zabudowę szeregową zapłacono 44 miliony 600 tysięcy zł. Nabywca — pan około czterdziestki, z okazałym brzuszkiem, ubrany w dżinsowy turecki garnitur — był z transakcji wyraźnie zadowolony. W licytacji kolejnej, prawie identycznej działki, liczyły się właściwie tylko dwie osoby. Licytując się na przemian doszły do sumy 47 mln zł. Padł w tym miejscu rekord ceny zapłaconej za 1 metr — 188 tysięcy zł. Pokonany w tej walce kupił taniej działkę następną. Ostatnia licytacja odbyła się bardzo szybko i bez emocji. Większość osób była już zrezygnowana i zniechęcona, nieliczni usatysfakcjonowani.

Potencjalnych nabywców było kilkakrotnie więcej niż ofert. Przetarg musiał się więc zakończyć sukcesem i był to wielki sukces organizatorów. Najniższa cena zapłacona za jeden metr — 31 tysięcy 424 zł; najwyższa — 188 tysięcy zł. Skarb Państwa oddał w użytkowanie wieczyste osiem tysięcy osiemset czterdzieści pięć metrów kwadratowych ziemi. Suma, o jaką się wzbogacił, nie mieści się w zakresie podręcznego kalkulatora.

Czy będą następne przetargi? Józef Gąszczyk nieoficjalnie powiedział, że Urząd Miejski do końca tego roku postara się zorganizować jeszcze co najmniej jeden przetarg na 50—60 działek.

48 MILIONÓW ZA DZIAŁKĘ

Maria Magdziarz

zji, Rolnictwa i Gospodarki Gruntami Urzędu Miejskiego w Lublinie. Nawet nie mogliśmy przypuszczać, że uda się sprzedać 250-metrową działkę za 48 milionów złotych. Przecież w obrocie cywilnym płaci się od 20 do 25 tysięcy zł za metr kwadratowy. Zakładaliśmy, że ceny oddawanych w użytkowanie wieczyste działek będą się wahały w granicach 10—12 milionów zł. Jak widać wszelkie nasze kalkulacje się nie sprawdziły. Dla skarbu państwa jest to oczywiście korzystne”.

Juz o ósmej rano hol miejskiego Ratusza był zatłoczony jak rzadko kiedy. Ludzi ciągle przybywało. Ale urzędnicy i tym razem okazali się sprytniejsi. Drzwi do sali nr 2, w której miał odbyć się pierwszy w Lublinie nieograniczony przetarg działek budowlanych, otworzono dopiero na trzy minuty przed dziewiątą. Przez wąskie drzwi gruchnęło naraz przysta a może nawet czterysta osób.

osób. Warunki postawiono korzystne: osoba wygrywająca przetarg otrzymuje od Skarbu Państwa działkę w użytkowanie wieczyste (na 99 lat), jedną czwartą licytowanej sumy wpłaca po uprawomocnieniu się odpowiednich decyzji, a pozostałą kwotę spłaca co roku po 1 procentie od tej sumy.

Rozpoczęło się dokładnie o godzinie 9.45. Pierwsza poszła pod młotek działka o pow. 420 m kw., położona przy ulicy Srogi. Licytowano jakby nieśmiało, próbując zapewne wy badać możliwości konkurencji. Stawka rosła o kilkadziesiąt, najwyżej kilkaset tysięcy zł. Powoli więc i spokojnie — od ceny wywoławczej 1 mln 918 tys. 350 zł — suma doszła do 14 milionów. Później okazało się, że była to najtaniej nabyta tego dnia działka. Następna — większa o 50 metrów, położona przy tej samej ulicy — osiągnęła już cenę 21,5 mln zł. Później licytowano sześć działek o powierzchni od 350 m kw. do 465 m

45. „Czego” — zapytał licytator. „Oczywiście — milionów”. Konsternacja, zupełne zaskoczenie. Chwila ciszy, a potem zgrzyliwie uśmiešk i słowa powątpiewające w zdrowy rozsądek zwycięzcy, którym okazał się kilkusetletni młodzieniec. Niestety, nie było go na liście uprawnionych do licytowania. A więc rozgrywka nieważna! W końcu jednak ustalono, że na sali jest obecna pani w średnim wieku, w imieniu której licytowano. Zatem wszystko w porządku, sprzedane.

Wydawało się, że już nic na tym przetargu bardziej nie zaskoczy. A jednak...

Kolejną sensację wywołała sprzedaż 560 metrów przeznaczonych pod dom wolno stojący przy ulicy Gdańskiej. Działkę sprzedano za 42,5 milionów zł, cena jednego metra doszła do 80 tys. zł. Wylicytowano jeszcze trzy działki na Gdańskiej. Najdroższa, o powierzchni 450 metrów, kosztowała 43 i pół miliona zł.